◆ DENIS DIDEROT – Z »SALONÓW« ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 21 listopada 1948 r.

Nr 47 (208)

TEATR OBRAZCOWA

NAJPIERW by.y wzmianki dziennikarskie: tzw. głuche wieści, że hen, w Moskwie istnieje fantastycznie doskonały teatr kukiełek Sergiusza Obrazcowa. Potem — entuzjastyczne artykuły szczęśliwców, którzy mieli okazję w tejże Moskwie przedstawienia te oglądać. Jeszcze później pojawiły się gabloty z pięknymi fotosami kukiełek. Te już rozpaliły do reszty ciekawość miłośników kukiełkowej sztuki. Wreszcie teatr przyjechał i z punktu podbił stolicę. W niemałej sali Związku Nauczycielstwa na ulicy Smulikowskiego tłok nieopisany, dostawiane krzesła nie wystarczają, trzeszczą szatnie, przy walce o bilety rozwija się protekcjonizm... Dygnitarze obok młodzieży, poeci i robotnicy — wszyscy chcą to zobaczyć. Efektowniejsze momenty akcji nagradzają brawami o natężeniu dawno już nie słyszanym. Choć program pobytu teatru Obrazcowa w Polsce przewiduje poza stolicą kilka miast prowincjonalnych, co gorętsi prowincjusze nie czekając ściągnęli do Warszawy: kukiełkarze, literaci, dziennikarze z Krakowa, Śląska, Łodzi, Pomorza i skądś tam jeszcze podpatrują tu, na gorąco, sekrety sztuki moskiewskiego czarodzieja.

Zanim w obszerniejszym studium omówimy te przedstawienia stwierdźmy na razie, że sława nie przerosła faktów — teatr nie zawiódł oczekiwań. Cudów nie ma. Każdy prawie z interesujących detali technicznych, każda niemal „sztuczka" z poszczególną kukiełką gdzieś kiedyś była już w podobny sposób realizowana przez naszych co ambitniejszych kukiełkarzy. Ale teatr Obrazcowa, choć „sztuczek" takich pokazuje setki — nie na nich polega: jest ożywiony duchem nie „sztuczek", ale prawdziwej, dojrzałej, zniewalającej sztuki. Olbrzymia świadomość celu artystycznego góruje nad techniką i nad „robotą", a wynik tego — to wielkie przeżycie, które wynosi każdy z gry tych miniaturowych aktorów.

Dlatego też w rozważaniach nad osiągnięciami tego teatru otwierają się ogromne perspektywy, obejmujące szereg najistotniejszych zagadnień sztuki. Co to jest praca zespołowa, jak wygląda socjalistyczny realizm w pracy kukiełki i w pracy kierownika literackiego, w jaki sposób łączy się w dziele scenicznym ów realizm z romantyzmem i fantastyką, jak droga do humanizmu prowadzi poprzez ludowość — oto niektóre tylko z problemów, które stają się wprost naoczne, gdy oglądamy pracę zespołu Obrazcowa. Zaiste — gość w porę!

Jm

K. I. GAŁCZYŃSKI

LIST Z MOSKWY

Literackim Towarzyszom Podróży: E. Szelburg-Zarembinie i Kazimierzowi Brandysowi

Moskwa, 11 list. 1948

Droga!

Ciekaw jestem, co ty teraz robisz w Szczecinie: może sprzątasz mieszkanie? Może robisz śniadanie dla Kiry, która właśnie wychodzi do szkoły? A może czytasz w tej chwili „W okopach Stalingradu" Niekrasowa, książkę, która u nas w Polsce zdobyła tak wielką popularność?

Słuchaj: jeżeli nasza Kira jest grzeczna i posłuszna, to powiedz jej, że dostanie od ojca prezent z Moskwy: pamiątkowy znaczek na XXX-lecie Komsomołu. Kupiłem w hotelu „Moskwa" takie trzy znaczki: jeden będzie dla Kiry (ale tylko, jeżeli jest grzeczna!), drugi dla małego Jurka, a trzeci — dla mnie.

Co ja w tej chwili robię? Ano siedzę przy oknie, w hotelu „Moskwa", palę papierosa „Moskwa" i piszę. Bo, widzisz, wczoraj spotkał mnie zaszczyt: radio radzieckie zwróciło się do mnie z propozycją opisania moich wrażeń z pobytu w Moskwie. Łatwo powiedzieć: wrażenia! To są, miła moja, całe wagony wrażeń i, że tak powiem, wyładowywać te wrażenia z kilkudniowego pobytu w stolicy świata mógłbym przez parę miesięcy!

Droga Natalio, czy czytałaś mowę Mołotowa w Wielkim Teatrze? Na pewno czytałaś. Bo tę mowę zna już cały świat, od Warszawy do Siamu. Ale moja wyższość nad tobą polega na tym, że ja tę mowę słyszałem osobiście i na własne oczy widziałem Mołotowa. Wygląda on tak jak na fotografiach, tylko młodziej.

Jaka szkoda, Natalio, żeś nie mogła razem ze mną polecieć! Bo byś tutaj szóstego listopada zrozumiała dwie rzeczy: co to znaczy entuzjazm i co to znaczy Stalin. Stalin to nie tylko drogowskaz i zwycięstwo. Stalin to pieśń narodu.

A nazajutrz na Placu Czerwonym była defilada. Moja droga, tego widoku nie zapomnę nigdy: tego entuzjazmu, tego pochodu czołgów, tego przelotu samolotów nad Kopułami Wasilja Błażennowo.

Natalio, ty wiesz, że ja nie umiem pisać prozą. Ja o tym napiszę wiersze, cały cykl o Moskwie i niech to przetłumaczą na rosyjski. A chciałbym, żeby te moje wiersze o Moskwie były tak rytmiczne jak te czerwone maki, którymi potrząsała radziecka młodzież defilująca przed trybuną mauzoleum.

Również siódmego wieczorem byłem w MCHAT, na „Zwycięzcach". Tematyka sztuki podobna jak w „Okopach Stalingradu". O doskonałościach MCHAT chyba rozwodzić się nie trzeba.

Rzuciłem w MCHAT mały kwiatek przed portretem Knipper-Czechowej, ode mnie i od ciebie.

8 listopada:

Byłem w Muzeum Lenina. Osobliwe wrażenie! To tak jakby historia WKP (b) ożyła przed twoimi oczami. Są tu oczywiście i pamiątki z pobytu Lenina w Poroninie. Pamiętasz, jak zeszłego roku o tej porze przejeżdżaliśmy przez Poronin i nasza mała Kira pokazała palcem i zawołała: — Mamusiu, o! tutaj mieszkał Lenin.

Ale, czy pisali coś jeszcze o mojej ostatniej książeczce? Ja tu w Moskwie widziałem jedną recenzję o poecie taką recenzję o poecie, jakiej żaden z nas nie miał. Ta recenzja jest napisana nie czcionkami, ale tysiącem lamp oświecających to niesłychane moskiewskie metro. Tytuł recenzji: „STANCJA MAJAKOWSKAJA".

9 listopada:

Śnieg pada od rana, moskiewski śnieg. Pierwszy, który widzę w tym roku. Szkoda, że nie mogę teraz ciebie wziąć za rękę. Lubię patrzeć na pierwszy śnieg razem z tobą. Przyznam ci się, że dziś pomyślałem o Tobie: w Muzeum Kremlowskim widziałem w samo południe ślubne wieńce Puszkinów!

A ty przecie także masz na imię Natalia, „belle Nathalie".

Aha, powiedz Kirze, że poznałem osobiście autora „Wesołego snu", Michałkowa, na jego jubileuszu w Centralnym Teatrze Dziecka. Powiedziałem mu, że Saliński przetłumaczył jego „Wiesioloje snowidienje", a Michałkow z kolei poprosił mnie o przesłanie pozdrowień Tuwimowi i Broniewskiemu.

Na zakończenie jubileuszowego spektaklu, do którego słowo wstępne powiedział Konstanty Simonow, Michałkow czytał sam swoje wiersze, a wśród nich swój przekład „Ptasiego radia" Tuwima. Sprawiło mi to wielką przyjemność.

Ale, gdybyś mnie zapytała, co zrobiło na mnie większe wrażenie: czy jubileusz Michałkowa w Centralnym Teatrze Dziecka, czy wizyta w Zakładach Automobilowych im. Stalina, doprawdy nie wiedziałbym, co ci na to odpowiedzieć. Przyznaj się: może ciebie dziwi to zestawienie maszyn i poetów. Ale jest w tym kraju jakieś braterstwo maszyn i ludzi, o jakim my w Polsce nie mamy pojęcia.

10 listopada:

Śnieg ciągle pada. Ale to dobrze. Śnieg to też styl tego miasta. Otwieram głośnik. Nadają program. Wrywa się w uszy urywek programu: Pogadanka o „Księżycowej Sonacie" Beethovena i odczyt „O pozytywnym bohaterze radzieckiej literatury". Tu mimowolna refleksja: jak wygląda sprawa pozytywnego bohatera w naszej beletrystyce? Och, słabiutko. Helena Usijewicz powiedziała mi: — Ja, proszę was oglądam bohatera powieści pod kątem jego przydatności w konkretnym, aktualnym życiu. — Ciekawe, co by się stało z polskich beletrystycznych osiągnięć przy zastosowaniu tego kryterium?

Wyjeżdżam na miasto, na Moskwę, stolicę mojego dzieciństwa. Otóż i most Krymski, przez który jako mały szczeniak chodziłem na lekcje skrzypiec, otóż i Moskwarzeka, w której łowiłem okonie.

Moja droga, rozumiesz dobrze, że we wdzięcznej pamięci zachowałem nazwiska kierowników WOKS*): Jakowliewa (naszego starego znajomego z Warszawy!) i Dienisowa i Mickiewicza, a również nazwiska naszych niezmordowanych ciceronów: obywatelki Szewczenko i obywatela Kuzmienko. To oni wszyscy umożliwili nam tę cudowną podróż. Dzięki nim poznaliśmy zdobywcę serc dziecięcych Marszaka; i zdobywcę Arktyki sławnego Papanina; i promienistą Tamarę Chanum. Za jeden warkocz Tamary Chanum oddałbym dwa sonety Szekspira, o ile oczywiście zgodziłby się na to Marszak, bo właśnie jego przekład szekspirowskich sonetów ma się ukazać lada dzień, tak poinformowała mnie Kubickaja, młoda anglistka, członek delegacji radzieckiej na kongresie wrocławskim.

Wszystko to, moja droga, bardzo piękne, ale jedna rzecz w Moskwie zdecydowanie mi się nie podobała: mandarynki, nadmiar mandarynek. Sklepy tu są zawalone wszelaką gastronomią, a gastronomia mandarynkami. Mandarynki wszędzie: na kramikach i w bufetach teatralnych. Po prostu przejść nie można. A ty wiesz, jak ja nie cierpię mandarynek. Do zjedzenia ćwierci mandarynki nie namówiłby mnie ani ambasador Naszkowski, ani sekretarz redakcji „Prawdy" Griebniow, ani nawet sam Ilja Erenburg.

Tak, ale dzięki tym mandarynkom Moskwa wygląda jak Taormina.

Całuję cię serdecznie i gorąco ściskam.

Twój

Konstanty

*) Radzieckie towarzystwo współpracy z zagranicą

JULIAN TUWIM

ZYGMUNT WASILEWSKI

25 października zmarł w Wiśle publicysta i literat Zygmunt Wasilewski. Żył 83 lata. Każdy, kto wiedział o tragedii ostatnich lat życia sędziwego pisarza, musiał mu współczuć: dotknięty strasznym kalectwem ślepoty, przebywał od paru lat w mroku. Ale gdyby nawet widział, to i tak żyłby w mroku. Polska wielkimi i pewnymi krokami zmierzająca ku socjalizmowi, Polska sprzymierzona ze Związkiem Radzieckim, Polska przezwyciężająca pozostałości nacjonalizmu i jego zapalnej formy — szowinizmu, ta Polska była chyba dla zajadłego nacjonalisty grobem za życia. Runęło wszystko, o co tyle lat i tak zaciekle walczył. Nazbyt był mądry, aby nie wiedzieć, że stały się i dalej stają rzeczy nieodwołalne. Zdawał sobie na pewno sprawę, że program polityczny, który mu przyświecał, zmiażdżyło koło historii; że na jego mętnawą, w formie nie raz abstrakcyjną, choć politycznie wyraźną ideologię nie będzie w nowej Polsce miejsca.

Nie znałem Zygmunta Wasilewskiego osobiście. Raz tylko, w jednej z najbardziej wzruszających chwil w moim życiu (i w jego na pewno), staliśmy obok siebie, dygocąc, i zamieniliśmy parę zdań — raczej wybełkotanych niż wypowiedzianych. Było to latem r. 1927, gdy do wiślanej przystani zbliżał się statek, na którym wracały do kraju prochy Słowackiego. Trumnę eskortowali Or-Ot i Lechoń. Gdy nam, stojącym w tłumie, zamajaczył z daleka katafalk z „trumną wąziutką" i wyciągnięci przy nim dwaj poeci — jeden w mundurze, drugi we fraku, obydwaj osmaleni od sadzy i dymu — nie przysięgnę, ale coś mi się roi, żeśmy się, obok siebie stojący, na sekundę za ręce schwytali i zamienili parę półprzytomnych zdań. Przypadek oczywiście. Takich rąk było na pewno więcej w tym tłoku nieomal rozpłakanych ludzi. Ale mnie ten moment na całe życie związał z osobą starego, zakamieniałego endeka, najczarniejszego retrograda i jednego z największych w Polsce szkodników dziennikarskich. Widywałem go potem często w kawiarni Europejskiej, gdzie lubił, jak i ja, przesiadywać rano i czytać gazety. I zawsze, przez kilka lat, kiedym się temu wąskiemu, suchemu, ptasiemu panu przyglądał, napływał ów statek widmowy.

Pamięć o Wasilewskim, jako o autorze studiów o Goszczyńskim, Kasprowiczu i Norwidzie (książka o tym ostatnim nie przynosi autorowi chluby) utonąć musi w powodzi jadowitych, reakcyjnych artykułów, w endeckiej „Gazecie Warszawskiej" i „Myśli Narodowej". Przeglądałem niedawno roczniki tej „Myśli". Człowiek dziś własnym oczom nie wierzy, czytając te „wzniosłe obrzydliwości". Jakto? I tym karmiono rzesze czytelników polskich? Na tym „pokarmie duchowym" wychować się miały pokolenia młodzieży? Przecież ta „Myśl Narodowa" to prawdziwa biblia rodzącego się faszyzmu, polskiego faszyzmu najpierw we włoskim, potem w niemieckim wydaniu. Pod patronatem Wasilewskiego działali tam m. i. Stanisław Pieńkowski, polski norymberczyk, rodzony brat powieszonego Streichera, wróg chrześcijaństwa i mitoman aryjski — i drugi ananas: Jan Rembieliński, już za moich czasów uniwersyteckich, więc lat temu blisko 30, herszt studenckich bojówek, notoryczny drab faszystowski, dla odmiany „katolik" (co już wtedy było wygodnym parawanem dla rozmaitych awanturników politycznych), świętoszek a zwyrodnialec, Baldur von Schirach w polskim sosie, kreatura wypisz wymaluj goebbelsowska.

Takich to ludzi wychowywał pod swoimi skrzydłami filozof narodowy i autor monografii o wielkich naszych poetach...

Tygodnik „Dziś i Jutro" (nr 46) wydrukował nekrolog Zygmunta Wasilewskiego, zakończony słowami „Cześć jego pamięci!"

Pamięci O CZYM, panowie?

O miłości dla wielkich poetów polskich? Jeżeli tak, to zgoda.

Ale jeżeli mowa o głównym dziele życia Zygmunta Wasilewskiego, o rocznikach „Gazety Warszawskiej" i „Myśli Narodowej", to wbrew sławetnemu „de mortuis" nie na miejscu jest oddawanie dzisiaj czci jednemu z czołowych przedstawicieli reakcji polskiej, wychowawcy całej zgrai rycerzy pałki i noża, głosiciela nienawiści plemiennej, żydożerstwa i pychy narodowej, propagatora faszyzmu i hitleryzmu swojskiego chowu.

Świeć, Panie, nad duszą nieszczęśliwego ślepca, biednego pana Zygmunta Wasilewskiego z wiślanej przystani...

Juliar Tuwim

ZDJĘCIA Z KUKIEŁKOWEGO TEATRU OBRAZCOWA

2363.K.1948

ALEKSANDER SEMKOWICZ

O pierwszym pośmiertnym wydaniu „Pism" Mickiewicza w Warszawie

Żałobą okryła się Polska cała na wieść o śmierci Mickiewicza. W Paryżu zawiązał się komitet, mający na celu zebranie funduszu narodowego dla sześciorga sierot po zgasłym wieszczu. „Możni rodacy pokazali się wspaniałomyślnie — pisze Zaleski — byłem świadkiem szlachetnych obywatelskich uniesień". Równocześnie jednak toczył się spór, od kogo ma wyjść zapoczątkowanie akcji składkowej.

Ksiądz Prusinowski w mowie żałobnej podczas egzekwij, odprawionych w Poznaniu, nawoływał do pomocy sierotom: „Nie litość i miłosierdzie, ale wdzięczność ojcu powinna i uszanowanie, wielkiemu dłużne nieszczęściu! Nie jałmużny dla nich wołam, bo nie chcę krzywdzić narodu, ale długu żądam, któryśmy im i ich ojcu winni".

Jedynym spadkiem materialnym nieletnich sierot po zmarłym ojcu, było prawo własności literackiej dzieł poety. Rada familijna, sprawująca opiekę nad nimi, oraz zawiadująca funduszem narodowym dla dzieci Mickiewicza, postanowiła ogłosić wydanie pomnikowe dzieł poety i poruczyła sprawę tegoż Eustachemu Januszkiewiczowi i Julianowi Klaczce, którzy z wielką zapobiegliwością i pietyzmem poczęli gromadzić materiały drukowane i rękopiśmienne.

Niezależnie od tego rozpoczął opiekun i krewny sierot, Ludwik Wołowski, czynić starania w celu wydania dzieł Mickiewicza w kraju. Czynił to głównie dla zabezpieczenia praw własności literackiej spadkobierców, na wiadomość o zabiegach kilku księgarzy w głównym urzędzie cenzury petersburskiej, w celu uzyskania pozwolenia na przedruk pełnego lub częściowego wydania dzieł Mickiewicza.

Najwięcej krzątał się około wydania księgarz warszawski, Samuel Merzbach, który już w roku 1832 i 1833 był wydawcą pism poety. W marcu 1856 r., a więc zaledwie w parę miesięcy po śmierci Mickiewicza, czyni Merzbach usilne starania w tym kierunku, zabiegając w cenzurze warszawskiej i w głównym zarządzie cenzury w Petersburgu *). Idą z nim w zawody Maurycy Orgelbrand z Wilna i Józef Wolff z Petersburga. Orgelbrandowi nie udzieliła cenzura wileńska pozwolenia, zwrócił się więc do Petersburga. Wolff, nie uzyskawszy zezwolenia komitetu cenzury petersburskiej na wydanie utworów patriotycznych, odstąpił od zamiaru.

Merzbach natomiast poruszył wszelkie sprężyny, by uzyskać zezwolenie głównego urzędu cenzury na przedrukowanie 3 tomowej edycji warszawskiej z 1833 r. Mimo jednak poparcia spokrewnionej z nim, a mającej znaczne wpływy rodziny Adlerbergów, nie ruszył sprawy z miejsca. Liczył na poparcie księcia Piotra Wiaziemskiego, który w zastępstwie Abrahama Norowa kierował podówczas ministerstwem oświaty, sądził że ten dla pamięci poety, z którym był zaprzyjaźniony, zdoła wystarać się pozwolenia na druk wydania, lecz bodaj czy nie natrafił na największą przeszkodę. Wiaziemski bowiem, jako przyjaciel i admirator Mickiewicza, zmiarkował od razu, że każde wydanie bez wiedzy rodziny poety dokonane, skrzywdzi pozostałe po nim sieroty i kto wie, czy nie on właśnie nakłonił Ludwika Wołowskiego do wyjednania pozwolenia u cesarza Aleksandra II na druk utworów poety i zabezpieczenia własności jego dzieł.

Wołowski wniósł prośbę do cesarza w kwietniu 1857 r. przez ministra spraw zagranicznych gen. Kisielewa. W prośbie wskazuje na spekulację, która stara się wydrzeć sierotom owoc geniuszu ich ojca i prosi „w imię tego, co jest najszlachetniejsze w świecie, w imię chwały i nieszczęścia, o zarządzenie zabezpieczające dzieciom wyłączne prawo wydania jego dzieł. Prośba Wołowskiego wędrowała z rąk do rąk dygnitarzy, aż dotarła szczęśliwie do ministerstwa oświaty, którym — jak to wyżej wspomnieliśmy — zarządzał podówczas Wiaziemski. W wędrówce swej została opatrzona w opinie różnych instancyj, oczywiście nie nadto życzliwe. Obawiając się, by opinie te nie zaszkodziły prośbie, Wiaziemski postanowił w osobnym memoriale przedstawić swe zdanie do najwyższej decyzji. Na tym to memoriale podpisał Aleksander II przychylną decyzję: „wykonać", z datą 11 sierpnia 1857 r.

Merzbach, poinformowany o zabiegach Wołowskiego u tronu, wybrał się do Paryża, z postanowieniem zawarcia formalnego układu z Opieką dzieci Mickiewicza o wydanie dzieł poety. Umowa została zawarta w miesiąc po decyzji cesarskiej, u rejenta Marcelego Zielińskiego w Warszawie, przy czym z upoważnienia Opieki nieletnich sierot występował Leon hr. Łubieński.

Merzbach nabył więc prawo jednorazowego wydania dzieł Mickiewicza w nakładzie 10.000 egz., rozciągające się w granicach Królestwa i Cesarstwa rosyjskiego i dotyczące tylko dzieł, dotąd drukiem ogłoszonych, za sumę 35.000 fr., czyli 8900 rubli srebrem.

Po podpisaniu umowy, rozpoczął Merzbach niezbyt szczęśliwą reklamę wydawnictwa, wysławiającą przede wszystkim wspaniałomyślność „najjaśniejszego monarchy" i określającą niewyraźnie samo wydanie, jakoby „na korzyść sierot" wyłącznie przedsięwzięte. Wysoka stosunkowo cena (10 rb. za całość w 8 tomach, a 15 rs. za wydanie na welinie z rycinami), dopełniła miary niezadowolenia i oburzenia, które znalazły swój wyraz naipierw w protestacji Adolfa Pilchowskiego, obywatela powiatu berdyczowskiego, podpisanej przez 20 osób, również z tego powiatu.

Protestacja potępia sposób nabycia praw przez Merzbacha „za lichą cenę" i chęć zrobienia interesu kosztem sierot po wielkim poecie. Nawołuje do bojkotu wydawnictwa Merzbacha; żeby jednak nie skrzywdzić sierot, zobowiązuje wszystkich obywateli do składania odpowiadających prenumeracie sum w ręce marszałków, którzy pieniądze owe prześlą Opiece sierot.

Protest berdyczowski nie odniósł pożądanego skutku, rozpętał natomiast burzę sprzeciwów i odpowiedzi. Więc przede wszystkim manifest obywateli wolno-handlowego miasta Odessy przeciw obywatelom berdyczowskim, inspirowany zapewne przez Merzbacha, mającego rozległe stosunki i koneksje wśród międzynarodowej finansjery. W świętym oburzeniu grożą odescy handlarze, że nie będą tak długo kupowali berdyczowskiej pszenicy, dopóki berdyczowscy obywatele nie pogodzą się z Merzbachem. Taka groźba to nie żart! Wśród podpisów protestujących pod manifestem istna mozaika międzynarodowa, od Merkurego Mauroplutato do... Ruchli Szmarkelnaze.

Walka dwóch obozów przeniosła się wreszcie na łamy „Czasu" krakowskiego (nr z 14 lutego 1858 r.), w którym imieniem przeciwników Merzbacha zabrał głos najpierw Zenon Fisz (Tadeusz Padalica). Zaczepił on przede wszystkim niejasne określenie wydawnictwa „na korzyść sierot", które wprowadziło w błąd opinię, podczas gdy Merzbach nabył wydanie na korzyść własną. Wylicza, że przy ustanowionej cenie księgarz weźmie za wydanie dziesięć razy więcej, niż zapłacił Opiece nieletnich, zapomina jednak o kosztach wydawnictwa i o rabacie, który wydawca musi przyznać odsprzedającym księgarzom. Podaje ponadto w wątpliwość dobrą wolę opiekuna sierot, Wołowskiego, który, zdaniem jego, zawarł tak niekorzystną umowę z Merzbachem.

Pismo Padalicy spowodowało odpowiedź Merzbacha w „Czasie" (13 marca 1858), oraz ciętą odprawę T. Dziekońskiego również w tym piśmie, w korespondencji z Warszawy, z datą 20 lutego 1858 r. Dziekoński zbił przede wszystkim słabe i nieuzasadnione zarzuty Padalicy, broniąc uczciwości przedsięwzięcia Merzbacha, który ostatecznie miał prawo jako księgarz zarobić na tej imprezie, niesłusznie więc padł ofiarą różnych podejrzeń i ataków.

Ucichły wreszcie spory o kontrakt merzbachowski. Merzbach, rozpisawszy przedpłatę na podjęte wydawnictwo, powierzył redakcję i układ tegoż Kazimierzowi Władysławowi Wójcickiemu, który poprzedził je obszernym „Wspomnieniem o życiu i pismach Adama Mickiewicza".

„Pisma" w wydaniu Merzbacha, wyszły w Warszawie w 1858 r.*) w ośmiu tomach formatu szesnastki. Pięć tomów początkowych zawiera pisma poetyckie i literackie, trzy zaś ostatnie obejmują „Rzecz o literaturze słowiańskiej" w przekładzie Feliksa Wrotnowskiego.

Ogłoszenie przekładu „Kursu" przysporzyło Merzbachowi świeżych kłopotów. Wynikła bowiem scysja między nim a Wrotnowskim, który uważał tłumaczenie za swoją własność literacką i nie życzył sobie, żeby przedrukowywano je bez jego upoważnienia, w dawnej niepoprawionej formie. Merzbach natomiast, opierając się chytrze na brzmieniu kontraktu, twierdził, że wolno mu drukować wszystkie dotychczas ogłoszone pisma poety. Nie uważał w dodatku za potrzebne zwracać się do Wrotnowskiego, bo na żadnym z dotychczasowych wydań nie wydrukowano nazwiska tłumacza, przy tym nie byłoby z pożytkiem dla czytelników polskich wydawanie wykładów Mickiewicza w oryginale francuskim.

Z tego widoczne, że kontrakt Opieki z Merzbachem nie był dokładnie sprecyzowany, Merzbach zaś, korzystając z jego ogólnikowego określenia, sięgnął nawet po „Wykłady", które nie należały właściwie do składu „Pism" i na pewno nie było w zamiarze Opieki rozporządzać się prawami Wrotnowskiego.

Ogłoszenie „Kursu literatury słowiańskiej" w wydaniu warszawskim nie przysporzyło pożytku ogółowi czytelników, cenzura bowiem skreśliła moc ustępów i cały kurs czwarty. Pokiereszowane przez cenzora prelekcje mają miejscami sens zupełnie zmieniony; przy tym samo wydanie pełne jest błędów i niedokładności.

Cenzura nie oszczędziła też działu poezyj. Wyrzucono z nich wiersze treści patriotycznej, usunięto „Dziadów" cz. III z Ustępem, „Księgi pielgrzymstwa" i artykuły z „Pielgrzyma". Nawet w „Panu Tadeuszu" skreślono poważną ilość wierszy.

Jest to zatem mocno okaleczała edycja — pierwsza, która przeszła przez alembik cenzury carskiej. Przyjęto ją mimo to i mimo wszelkich protestów przeciwników Merzbacha, ze szczerą radością; wszak od dwudziestu pięciu lat nie było w kraju żadnego wydania pism Mickiewicza, edycje zaś paryskie były trudne do zdobycia, a przede wszystkim niebezpieczne. Zresztą „Pisma" — choć drogie — wydane jednak z widoczną starannością, ozdobione litografowanym portretem poety, i ośmioma rycinami na stali, torowały sobie łatwo drogę do łaknących poezyj Mickiewicza czytelników.

Ryciny dodawano jedynie do edycji droższej tj. na welinie. Pierwsze wśród nich miejsce zajmują trzy świetne ryciny Wojciecha Gersona ilustrujące „Pana Tadeusza". Znakomity artysta wybrał do ilustracji tematy scen zbiorowych, a mianowicie: kłótnię w zamku Horeszków, naradę w zaścianku i koncert Jankiela. Obrazy jego oddają doskonale nastroje wybranych tematów. Z twarzy uczestników biesiady w zamku czy narady w zaścianku można wyczytać nadciągającą burzę i pochopność do bitki. Pogodą zaś i uroczystym nastrojem owiane są postaci gości Sopli cowa, otaczających postać grajka i zasłuchanych w muzyce. Gerson był pierwszym znanym ilustratorem „Pana Tadeusza" *), szkoda, że rycin tych nie wykonał więcej.

Senne i bez wyrazu dwie ryciny Aleksandra Lessera do „Wallenroda" („Uczta" i „Powieść Wajdeloty") i jedna do „Grażyny" nie podnoszą widza żadnym szczególniejszym rysem, nie ma w nich po prostu poezji Mickiewicza.

Dodatniej działa z rozmachem ujęty „Farys" Henryka Pilattiego oraz z humorem traktowana „Pani Twardowska" Franciszka Kostrzewskiego.

Wszystkie ryciny odbito ze stalorytów, wykonanych w Niemczech. Pierwszych sześć dołączono dopiero do tomów zawierających „Rzecz o literaturze słowiańskiej", dwie ostatnie, wraz z portretem Poety, wyszły razem z oddzielnie wydanym przez K. Wł. Wójcickiego „Wspomnieniem o życiu i pismach Mickiewicza". Stąd często spotyka się egzemplarze z rycinami wklejonymi w nieodpowiednim miejscu, albo bez dwóch ostatnich rycin i bez wstępu Wójcickiego, który wydano z oddzielnym tytułem, jako osobną broszurkę, z paginacją rzymską.

Wydanie merzbachowskie jest dość pospolite, nieco rzadsze są egzemplarze z kompletem ośmiu rycin, dodanych do edycji droższej. Wydanie tańsze drukowano na papierze nieco cieńszym, choć równie dobrym; zdobi je tylko portret Mickiewicza w pięknej dwutomowej litografii Fajansa, według znanej fotografii Szweycera, z podobizną podpisu poety.

Pierwszy tom odbito w nakładzie 10.000 egz., gdy jednak Merzbach zmiarkował się, że takiej ilości łatwo nie sprzeda, ograniczył podobno nakład następnych tomów do 2.000 egz. Cyfra ta nie wydaje się jednak prawdopodobna wobec dzisiaj nawet dość dużej popularności wydania warszawskiego.

W każdym razie wydanie, które kosztowało wydawcę tyle zachodów i przykrości, nie przyniosło mu w istocie zbyt poważnych zysków; nie przysporzyło też wiele korzyści ogółowi czytelników, z powodu zbyt dotkliwych skreśleń cenzuralnych.

Sześć lat temu dnia 19 listopada 1942 r. został zamordowany przez Niemców na ulicy Drohobycza Bruno Schulz, znakomity pisarz, autor „Sklepów cynamonowych" i „Sanatorium pod Klepsydrą".

*) Dokumenty i korespondencje w sprawie zabiegów Merzbacha ogłosił H. Biegeleisen w pracy: Pierwsze pośmiertne wydanie pism A. Mickiewicza. Warszawa 1931.

*) Tomy wychodziły kolejno po sobie. Tom pierwszy ukazał się już w listopadzie 1857 roku.

*) Poprzednikiem Gersona był Wincenty Smokowski, którego dwutomowy, niepublikowany zbiór 228 ilustracyj, wykonanych piórkiem i tuszem, znajdujący się w zbiorach rapperswylskich, zniszczony został przez Niemców w czasie wojny.

Aleksander Semkowicz

HENRYK MARKIEWICZ

SPORU O METODĘ CIĄG DALSZY

(III zjazd kół polonistycznych)

Duża sala Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi rzadko chyba bywa świadkiem dyskusji tak gorących i zaciętych, jak te, w które obfitowały obrady III Zjazdu Naukowego Kół Polonistycznych Polskiej Młodzieży Akademickiej. Wbrew nazwie nie był to Zjazd, który można by rozpatrywać w kategoriach życia a k a d e m i c k i e g o. Uwzględnić go musi jako fakt ważny i znamienny — każdy kronikarz polskiego życia n a u k o w e g o w roku bieżącym. Stało się tak nie tylko za sprawą właściwych uczestników zjazdu, których część (zjawisko charakterystyczne dla okresu powojennego) pracuje już samodzielnie w dziedzinie historii, literatury i krytyki literackiej. W pokaźnej bowiem mierze o charakterze zjazdu zadecydował czynny w nim udział tak wybitnych przedstawicieli nauki, krytyki i publicystyki literackiej, jak (wymieniam w porządku alfabetycznym): Antoni Gołubiew, J. Z. Jakubowski, Jan Kott, J. A. Król, Artur Sandauer, Stefania Skwarczyńska, Adam Ważyk, Kazimierz Wyka, K. W. Zawodziński, Stefan Żółkiewski. Zarazem jednak to aktywne zainteresowanie starszego pokolenia, jego pełne zaangażowanie się w dyskusje zjazdowe, jest najlepszą legitymacją wysokiego poziomu naukowego zjazdu.

Zjazd poświęcony był poezji dwudziestolecia międzywojennego oraz ubocznie — dydaktyce poezji w szkole. O takiej tematyce zadecydowało parę przyczyn. Ten okres literatury słabo dotąd opracowany, stwarzał poważne ryzyko badawcze, ale równocześnie zwiększał szanse odkrywczości. Pozwalał połączyć badanie historyczno-literackie z walką przeciw przeważającym dotąd mieszczańskim i drobnomieszczańskim kryteriom oceny, z walką o nowe gusty literackie, współmierne z rytmem nowego okresu historycznego. Służył potrzebom praktycznym, uzupełniając niewystarczającą wiedzę o literaturze dwudziestolecia, wyniesioną ze szkoły i uniwersytetu.

Przebieg zjazdu był jednak inny niż zapowiadali jego organizatorzy. Inny — to nie znaczy: nieoczekiwany.

Przede wszystkim — zarzut to poważnie obciążający młodą polonistykę — zagadnienia dydaktyki poezji nie obudziły większego zainteresowania wśród uczestników. Nie stanęła również w całej rozciągłości i ostrości sprawa przewartościowania dotychczasowych ocen poezji dwudziestolecia, a tym bardziej — walki o nowe ideały estetyczne. Rewizja taka była częściowo przeprowadzona w referacie marksistowskim o grupie „Skamandra", ale tylko implicite, poprzez opis i interpretację ideologiczną. Istniejące zasady metodologiczne marksizmu w zakresie ocen estetycznych nie zostały przez referentów w pełni uwzględnione. Z wręcz przeciwnych pozycji próbował przewartościować poezję Broniewskiego Zygmut Lichniak, nie zatroszczył się jednak o uzasadnienie swych bardzo ryzykownych sądów (o wyższości poezji „osobistej" Broniewskiego nad „społeczną"), co uniemożliwiło merytoryczną dyskusję. Inne prace wymijały na ogół sprawy wartościowania, nacisk główny kładąc na problemy genetyczno-interpretacyjne.

Toteż zjazd, zamiast rozpętać spór o kryteria oceny i nowe kanony estetyczne, wznowił dawny spór o metodę, zapoczątkowany na zeszłorocznym zjeździe krakowskim. Ale spór ten toczył się już z innych pozycji i innym orężem.

Rok temu wydawało się jeszcze, że formalizm jest poważnym i długodystansowym współzawodnikiem metody marksistowskiej. Dziś nie ma wątpliwości, że „druga młodość" formalizmu była zjawiskiem przelotnym. Przeciwnicy marksizmu uwzględnili w swojej praktyce badawczej te ustępstwa teoretyczne, jakie zostały poczynione w toku dyskusji krakowskich. Przedstawione na zjeździe prace (Zbigniewa Kośmińskiego „Twórczość J. Czechowicza na tle grupy „Reflektor", Sławomira Rogowskiego „Ewolucja poetycka grupy „Żagary-Piony", Krystyny Skuszanki „Maria Pawlikowska - Jasnorzewska", Janusza Wilhelmi „O poezji Stefana Napierskiego" (na referacie Barbary Hajkowskiej o ideologii poetyckiej Leśmiania byłem niestety nieobecny) zdążają ku nomotetyzmowi, ku ustaleniu praw rządzących rozwojem literatury. Zrywają zdecydowanie z charakterystycznym dla formalizmu izolowaniem szeregu literackiego, włączają go w szerszy kontekst kulturowy i społeczny. Od stanowiska opisowego zwracają się ku badaniom genetycznym.

Są to niewątpliwie momenty postępowe w ewolucji młodej polonistyki, ale — poza jej nurtem marksistowskim — prowadzą na razie do wyników błędnych. Głównym ich źródłem jest świadomy eklektyzm metodologiczny, który daje tylko złudzenie pełnego poznania naukowego, powoduje natomiast zawsze wewnętrzne niekonsekwencje i sprzeczności. W niemarksistowskich pracach zjazdowych sąsiadowały z sobą analiza formalna, prostoduszny biografizm, błędne koła psychologizmu. Są to składniki stare w tym aliażu metodologicznym; obok nich jednak pojawił się element nowy, jako uboczny produkt ofensywy marksizmu: dyletancki socjologizm. Dyletancki nie dlatego oczywiście, że daleki i odżegnujący się od socjologii marksistowskiej, ale dlatego, że nieoparty o żaden inny system socjologiczny. Cała skomplikowana problematyka społecznego uwarunkowania procesu rozwoju literatury została sprowadzona do jednostronnego oddziaływania różnych kręgów środowiskowych na twórcę.

Dyskusja zjazdowa, w której inicjatywę utrzymali przez cały czas w swych rękach marksiści, była też przede wszystkim dyskusją z eklektyzmem metodologicznym. Przeciwstawiono mu płodną i twórczą metodę marksistowską, która bynajmniej nie pomija, lecz sprowadza do realnych proporcji, rolę momentów biograficznych, uwzględnia znaczenie tradycji i konwencji literackich, nie wyrzeka się problemów psychologii twórczości, ale dynamikę literatury określa w ostatecznej instancji dynamiką społeczną, dynamiką obiektywnych sprzeczności społecznych.

W płaszczyźnie teoretycznej wartości metody marksistowskiej wykazał w sposób najbardziej przekonywający i kompetentny — Stefan Żółkiewski. W praktyce badawczej — poprawność naukowa, owocność i powszechna zastosowalność marksizmu w nauce o literaturze zostały udowodnione przez Tadeusza Drewnowskiego, Marię Janion i Marię Żmigrodzką ich pracą o grupie „Skamandra".

Rok temu ci sami autorzy wystąpili z referatami, w których wysunęli i obronili zasadnicze tezy marksistowskiej teorii literatury. Równocześnie jednak praktyczne zastosowanie marksistowskich zasad metodologicznych, i to na materiale tak dogodnym jak „Dzieci" Prusa i powieści Orzeszkowej — dało wyniki słabsze niż należało oczekiwać. Toteż słychać było z ubocza głosy powątpiewające o użyteczności metody marksistowskiej przy badaniu utworów, opartych na założeniach sprzecznych z funkcjami literatury, które określa marksizm. Kwestionowano również zastosowalność metody marksistowskiej w zakresie liryki.

Odpowiedź na te wątpliwości dał referat o grupie „Skamandra". W obszernej rozprawie przedstawiono polityczno-społeczne uwarunkowanie poezji skamandrytów, ich rodowód poetycki, poddano dokładnej interpretacji nie tylko sferę sensów, ale częściowo także sferę kształtów ich utworów. Szczególnie cenne są rezultaty naukowe, dotyczące periodyzacji twórczości czołowej piątki skamandryckiej. Trudno na tym miejscu dokładniej relacjonować wyniki tej pracy, stanowiącej poważny krok naprzód w badaniach nad poezją dwudziestolecia; należy natomiast wyrazić życzenie, by została ona udostępniona w formie drukowanej.

Cały zjazd przeszedł pod znakiem ofensywy marksistów, którzy w toku dyskusji przeprowadzili nie tylko rozległą krytykę metodologiczną innych referatów (i to zarówno z pozycji marksistowskich, jak i krytykę immanentną), lecz dali także wartościowe uzupełnienia merytoryczne (np. marksistowska interpretacja poezji Broniewskiego przez Wiktora Woroszylskiego).

Zwycięstwo naukowe marksistów było niewątpliwe. Czy przekonali oni jednak większość uczestników zjazdu? Byłoby naiwnością sprowadzać odpowiedź na to pytanie do kwestii wyższości jednej metody naukowej nad innymi. Obrady zjazdu nie toczyły się na izolowanej od świata wyspie, lecz w mieście Łodzi, od 30 października do 3 listopada 1948 roku. Uczestnicy ich w przerwach między referatami czytali najnowsze numery gazet z odpowiedzią Stalina demaskującą podżegaczy wojennych i pierwszymi rezultatami wyborów w Ameryce, z wiadomościami o kongresie zjednoczeniowym PPR i PPS i listem episkopatu polskiego w sprawie szkół świeckich. To był istotny „podtekst" prac i dyskusji zjazdowych. Marksiści otwarcie wskazywali na filozoficzne źródła i polityczny sens swego sposobu badania literatury. Strona przeciwna podkreślała i postulowała apolityczność. Pod frazesami o niej kryła się czasem wyraźna i zamierzona treść polityczna, kiedy indziej — naiwność nowych panów Jourdain, nie zdających sobie sprawy z tego, że chcąc nie chcąc mówią językiem polityki.

O tym wszystkim trzeba pamiętać rozważając rezultaty zjazdu i jego echa terenowe. Nie zdziwiłem się wcale, kiedy w jednym z ośrodków uniwersyteckich większość uczestników zjazdu oświadczyła, że nie została przekonana o słuszności metody marksistowskiej. Inaczej być nie mogło. Marksizm zbyt sprzeczny jest z obrazem rzeczywistości, który sobie wytworzyli, zbyt groźny jest dla świata, z którym się solidaryzują, w którym widzą dla siebie miejsce.

Ale nie wulgaryzujmy tezy, że „byt określa świadomość". Nikt i nic nie skazuje młodzieży akademickiej na wstecznictwo. Ma ona prawo wyboru i swego stanowiska intelektualnego i swej funkcji społecznej. Kolejność tych decyzji bywa rozmaita. Jedno nie ulega wątpliwości: są one wzajemnie uwarunkowane. Z całą odpowiedzialnością można stwierdzić, że zjazd nie tylko wzmocnił i skonsolidował grupę marksistowską, ale również ułatwił wahającym się dokonanie tego wyboru. Stał się katalizatorem, przyśpieszającym tak krystalizację stanowiska teoretycznego, jak rozwój świadomości społecznej młodzieży polonistycznej. Kierunek tych przemian jest oczywiście jeszcze dwubiegunowy, ale nie ulega wątpliwości, że spośród owych biegunów marksizm jest tym, do którego należy przyszłość.

Henryk Markiewicz

DENIS DIDEROT

Z »SALONÓW«

GREUZE

To wasz malarz i mój, pierwszy, który między nami odważył się wprowadzić poczciwe obyczaje do sztuki i wiązać ze sobą zdarzenia, o których łatwo można by napisać powieść. Trochę jest próżny nasz malarz: ale próżność jego jest próżnością dziecka. Zabierzcie mu naiwność, która każe mu wykrzyknąć o jego własnej pracy: *„Spójrzcie na to! Czy to nie piękne!"* a zabierzecie zapał, zagasicie ogień i wymknie się geniusz. Lękam się, jeśli stanie się skromny, aby nie miał do tego powodów. Nasze zalety, niektóre przynajmniej, łączą się blisko z naszymi wadami. Większość uczciwych kobiet miewa humory, wielkim artystom talent uderza do głowy. Zalotnice są prawie zawsze wspaniałomyślne; dewotki, nawet zacne, nie stronią od obmowy. Mistrzowi, który wie co robi, trudno przychodzi nie być po trochu tyranem. Nienawidzę wszystkich małych nikczemności, w których pokazuje się tylko podłość duszy, ale nie budzą we mnie odrazy wielkie zbrodnie: naprzód, ponieważ stały się tematem pięknych obrazów i pięknych tragedii; a potem, jest w nich ta sama energia, co w wielkich i wspaniałych czynach. Jeżeli jeden człowiek nie byłby zdolny podpalić miasta, drugi nie byłby zdolny rzucić się w przepaść, aby go ocalić. Gdyby nie była możliwa dusza Cezara, nie byłoby i duszy Katona. Człowiek rodzi się obywatelem raz piekieł, raz nieba; jest Kastorem i Polluksem; bohaterem, zbrodniarzem; Markiem Aurelim, Borgią: *diversis studiis oro prognatus eodem.*

Stłuczony dzbanek, Jan Greuze

Mamy trzech malarzy zdolnych, płodnych i sumiennych obserwatorów natury, którzy nie zaczną, nie skończą niczego bez wielokrotnego przywołania modelu. Oto Lagrenée, Greuze i Vernet. Greuze niesie swój talent wszędzie; w ciżbę ludzką, do kościoła, na jarmark, na miejsca przechadzek, we wnętrza domów, na ulice; nieustannie zbiera postępki, namiętności, charaktery, typy. Chardin i on umieją mówić o swej sztuce; Chardin z wielkim znawstwem i zimną krwią: Greuze z zapałem i entuzjazmem. Warto także posłuchać Latoura w małej kompanii.

Jest bardzo wiele obrazów Greuze'a; kilka miernych, wiele dobrych, dużo wybornych: przyjrzyjmy się im.

DZIEWCZYNKA, KTÓRA OPŁAKUJE ŚMIERĆ SWEGO PTASZKA

Co za śliczna elegia! Śliczny poemat! Jaką piękną sielankę zrobiłby z tego Gessner! Jest to winieta do wiersza tego poety. Rozkoszny obraz, najwdzięczniejszy i może najbardziej zajmujący z całego Salonu! Dziewczynka stoi na wprost; głowę opiera na lewej ręce: martwy ptaszek położony jest na brzegu klatki, główka mu zwisa, skrzydełka opadły, łapki ma w powietrzu. Ileż naturalności w ruchu dziewczynki! jaka piękna głowa! jak elegancko uczesana! ileż wyrazu w twarzy! Ból jej jest głęboki, cała pogrążona jest w smutku. Jaki ładny katafalk z klatki! ileż powabu ma wijąca się dookoła girlanda z zieleni! Ręka jest piękna, bardzo piękna i piękne ramię. Zobacz jak prawdziwie oddane zostały wszystkie szczegóły palców; te doleczki, ta miękkość i ta różowość, którą ciężar głowy daje koniuszkom palców, ileż wdzięku w tym wszystkim. Chciałoby się ucałować tę rączkę, gdyby nie szacunek dla dziecka i jej bólu. Wszystko w niej czaruje, nawet strój. Jak zgrabnie zarzucona jest chusteczka na szyję; jak jest powiewna! Kiedy zobaczyłeś ten obrazek mówisz: *Rozkoszny!* Kiedy zatrzymasz się przy nim, albo kiedy do niego wracasz, wykrzykujesz: *„Rozkoszny! Rozkoszny!"* Nie spostrzeżesz się nawet, jak zaczniesz rozmawiać z tym dzieckiem i je pocieszać. Oto co — jak pamiętam — mówiłem do niego parokrotnie:

„Ależ, dziecko, ból twój jest głęboki, prawdziwy! Co oznacza ta minka marząca i melancholijna? Jakto? z powodu ptaszka! Nie płaczesz, jesteś smutna; i zamyślenie towarzyszy twojemu smutkowi. Tak, malutka, otwórz przede mną swoje serce, powiedz mi prawdę: czyżby rzeczywiście śmierć tego ptaszka tak ciebie przejęła i zasmuciła?... Spuszczasz oczy, nie odpowiadasz; bliska jesteś płaczu. Nie jestem ojcem; nie jestem ani niedyskretny, ani surowy... Ach tak! rozumiem, kochał cię, mówił ci o tym i mówił od dawna. Tak cierpiał: jak można patrzeć na cierpienia tego, który kocha?... Pozwól mi mówić dalej; czemu zasłaniasz mi usta swoją rączką? Tego ranka, co za traf, matka twoja była nieobecna. Przyszedł; byłaś sama: był taki piękny, taki namiętny, tak czuły, tak wdzięczny! tyle było miłości w jego oczach, tyle prawdy w jego słowach! mówił rzeczy, które idą wprost do serca! a mówiąc je klęczał u twoich kolan: to jest jeszcze do wybaczenia. Wziął cię za rękę, co chwila czułaś żar łez, które spadały z jego oczu i płynęły wzdłuż twoich ramion. Twoja matka ciągle nie wracała. To nie jest twoja wina; to wina twojej matki... Ale co to, płaczesz?... Ależ nie po to mówię, abyś płakała. I po co płakać? Obiecał ci; na pewno spełni wszystko co obiecał. Kiedy się miało tyle szczęścia, aby spotkać dziecko tak czarujące jak ty, aby się do niego przywiązać, aby mu się spodobać, to na całe życie... — A mój ptaszek?... Uśmiechasz się". (Ach, mój przyjacielu, jakżeż była piękna! ach, gdybyś ją widział, jak się uśmiechała i płakała!).

Mówiłem dalej: „Tak, twój ptaszek! Kiedy samemu się zapomina, czy można pamiętać o ptaszku? Skoro zbliżała się godzina powrotu twojej mamy, ten którego kochasz odszedł. Jakżeż był szczęśliwy, rozradowany, pełen uniesienia, jakżeż trudno było mu wyrwać się z twoich objęć!... Dlaczego się tak na mnie patrzysz? Znam to wszystko. Ileż razy podnosił się i siadał! ileż razy się żegnał! ileż razy wychodził i wracał! Widziałem go przed chwilą u jego ojca: biła od niego radość, radość którą dzielili wszyscy, nie mogąc się przed nią obronić... — A moja matka?... — Twoja matka? Ledwo odszedł, nadeszła; znalazła cię rozmarzoną, tak jak byłaś przed chwilą. Tak jest zawsze. Matka mówiła do ciebie, a ty nie słyszałaś, co mówi. Kazała ci coś robić, a tyś robiła co innego. Kilka łez pokazało się na brzeżku twoich powiek; powstrzymałaś je, albo też odwróciłaś głowę, aby je ukradkiem obetrzeć. Twoje ciągłe roztargnienie zniecierpliwiło matkę; nakrzyczała na ciebie i znalazłaś powód, aby płakać bez skrępowania i dać ulgę sercu... Czyż mam dalej mówić? lękam się, aby to co powiem, nie odnowiło twojej troski. Zgadzasz się?... Dobrze? Twoja dobra matka zaczęła sobie wyrzucać, że cię zasmuciła; zbliżyła się do ciebie, wzięła cię za ręce, pocałowała w czoło i policzki, a ty jeszcze bardziej płakałaś. Położyłaś głowę na jej ramieniu, a twarz, którą zaczął barwić rumieniec, popatrz, znowu się rumienisz, ukryłaś na jej piersi. Ileż czułości powiedziała ci matka i ileż bólu sprawiły ci te czułości! Tymczasem kanarek twój na próżno śpiewał, ostrzegał cię, wołał, bił skrzydełkami, skarżył się na twoje zapomnienie, nie widziałaś go, nie słyszałaś: o czym innym myślałaś. Nikt nie zmienił mu wody i nie dał ziarna; i tego ranka nie było już ptaszka... Znowu patrzysz na mnie: czyż jeszcze nie wszystko powiedziałem? Ach! rozumiem; ten ptaszek, dostałaś go od niego; co z tego? wyszuka ci innego, równie ładnego... To jeszcze nie wszystko: patrzysz na mnie tak uważnie i smutno: co jest jeszcze? Powiedz, nie potrafię odgadnąć... — A gdyby śmierć tego ptaszka była wróżbą... Co zrobię? Co ze mną będzie? Gdyby okazał się niewdzięczny? — Co za szaleństwo! Niczego się nie lękaj: tak nie będzie, tak być nie może... Ależ mój przyjacielu, czemu się śmiejesz, słysząc jak dorosła osoba pociesza dziecko po stracie ptaszka, po, stracie wszystkiego, czego się tylko chcesz domyślać? Ale spójrz, jaka ona jest piękna! jaka interesująca! Bardzo nie lubię, aby przeze mnie cierpiano, ale mimo to, zgodziłbym się, aby być powodem jej cierpień.

Temat tego poemaciku jest tak subtelny, że wiele osób go nie zrozumiało; uwierzyli, że dziewczyna płacze po stracie kanarka. Greuze już raz namalował rzecz na podobny temat: umieścił przed pękniętym lustrem dziewczynę w białej atłasowej sukni, przenikniętą głęboką melancholią. Czyż nie sądzisz, że byłoby równym głupstwem przypisywać łzy dziewczynki z tego Salonu utracie ptaszka, jak melancholię młodej dziewczyny z poprzedniego Salonu stłuczeniu lustra? Dziecko to, płacze z innego powodu, mówię ci. Naprzód, słyszałeś, sama to przyznaje, a jej pomieszanie połączone ze smutkiem mówi resztę. — Tyle cierpienia, w jej wieku i z powodu ptaszka!... Ale ile ona ma lat!... — Co ci odpowiedzieć, i jakie pytania mi stawiasz? Sądząc z twarzy wygląda na lat piętnaście lub szesnaście, ramię i rękę ma kobiety osiemnasto lub dziewiętnastoletniej. Jest to błąd kompozycji, który tym bardziej daje się odczuwać, że głowa jest oparta na ręku, co powiększa kontrast obu części. Ułóż inaczej rękę a nie spostrzeżesz, że jest zbyt silna i wyrobiona. Oto, mój przyjacielu, inny model posłużył dla głowy, a inny dla ręki. Zresztą, ręka jest bardzo prawdziwa,, bardzo piękna, doskonała w rysunku i kolorze. Jeśli darować temu obrazkowi lekki fiołkowy cień, będzie to rzecz bardzo piękna. Głowa jest dobrze oświetlona, w najprzyjemniejszym kolorycie, jaki można dać blondynce: może lepiej byłoby, aby była pełniejsza. Chusteczka w paski jest szeroka, lekka, o doskonałej przezroczystości; całość zrobiona mocno, co nie przeszkadza delikatności szczegółów. Malarz ten może zrobić równie dobrze, ale nie lepiej. Obraz jest owalny, ma dwie stopy wysokości.

Kiedy Salon został otwarty, pierwsze zaszczyty spadły na pana de Marigny. Poisson - Mecenas udał się tam z orszakiem swoich wiernych artystów, których zaprasza do stołu; inni także się tam znaleźli: szedł, patrzył, chwalił, ganił. Zatrzymała go „Płacząca" Greuze'a i zadziwiła. „Bardzo piękne" powiedział do artysty, który mu odpowiedział: — Wiem o tym, panie, ale brak mi zamówień. — To dlatego, odpowiedział mu Vernet, ponieważ masz pan chmarę wrogów, a między nimi pewnego jegomościa, który wydaje się, że kocha ciebie do szaleństwa, a który ciebie zgubi. — Kto jest tym jegomościem? — spytał go Greuze. — Pan sam, odpowiedział mu Vernet.

INNY PORTRET PANI GREUZE

Stanowczo malarz ten zakochany jest w żonie i ma rację. Kochałem się w niej za moich młodych lat, kiedy nazywała się jeszcze panna Babuti. Zajmowała małą księgarenkę na wybrzeżu Augustynów: świeżutka, prosta, biała jak lilia, rumiana jak róża. Wchodziłem tam szybkim krokiem, nieprzytomny jak zwykle i mówiłem: „Panienko, proszę *Bajki* Lafontaine'a i Petroniusza. — Oto są, proszę pana, innych książek panu nie trzeba? — Proszę mi darować, ale... — Niech pan powie. — *Zakonnice w koszuli.*—Fe! Co za obrzydliwość! Któż trzyma takie książki, któż je czyta? — Ach tak! panienka mówi, że to brzydkie książki; ja nic o tym nie wiedziałem..." A potem kiedy indziej, gdy przechodziłem, uśmiechała się i ja także.

Na ostatnim Salonie był *Portret pani Greuze w ciąży*: przystawałeś zaciekawiony jej stanem, potem opuszczałeś ręce ze zdumienia, podziwiając piękność koloru i prawdę szczegółów. Ten nie jest równie piękny: całość jest jednak pełna wdzięku; ustawiony jest dobrze; w pozie zmysłowej; na obu rękach czarują delikatności tonu. Lewa nie pasuje jednak do całości, ma nawet złamany palec; sprawia to przykrość. Piękna ręka głaszcze hiszpańskiego wyżła o czarnej, długiej sierści i ognistych centkach na pyszczku i łapach; oczy ma pełne życia. Kiedy na niego dłużej popatrzysz, zacznie szczekać. Koronka, która spina włosy, aż prosi aby spytać o rzemieślnika, który ją zrobił; to samo powiem o reszcie stroju. Głowa sprawiła wiele kłopotu malarzowi i modelowi; widać to i to już jest błędem. Przejścia na czole są zbyt żółte: wiemy, że plamy takie, zostają u kobiet, które miały dzieci; ale jeśli naśladowanie natury posunąć aż do ich oddania, należało je osłabić; oto przypadek, w którym wolno upiększać, ponieważ nie ucierpi na tym podobieństwo. Nierówności twarzy, przez swoją trudność, dają sposobność artyście pokazania swego talentu, to też rzadko kiedy się ich wyrzeka. Przejścia te mają jeszcze czerwonawy połysk, który jest prawdziwy, ale nieprzyjemny. Barwy są płaskie. Zaciśnięcie ust daje im przesłodzoną minkę. Jest w tym maniera. Jeśli maniera ta jest w osobie, tym gorzej dla osoby, malarza i obrazu. Czyżby kobieta ta chciała poszczuć swojego wyżła na kogoś? Mina złośliwa i słodka byłaby mniej fałszywa, ale raziłaby również. Poza tym rysunek ust, oczy, wszystkie inne szczegóły są do pozazdroszczenia; subtelnościom koloru nie ma końca; szyja podtrzymuje cudownie głowę. Jest piękna w rysunku i kolorze, i łączy się jak należy z ramionami; ale ta pierś, nie mogę na nią patrzyć, chociaż nawet przy pięćdziesiątce nie odwracam oczu od piersi. Malarz pochylił postać do przodu i przez tę pozę zdaje się mówić: „popatrz na pierś mojej żony"! — Widzę ją, panie Greuze. I cóż! Pańska żona ma pierś miękką i żółtą. Jeśli jest podobna, tym gorzej dla pana, dla niej i dla obrazu. Kiedyś pan de la Martelière wychodził ze swych apartamentów, na schodkach spotkał jakiegoś dryblasa, który wchodził do apartamentów jego żony. Pani de la Martelière miała najpiękniejszą głowę na świecie i pan de la Martelière widząc jak młody fircyk wchodzi do jego żony, mruknął przez zęby: „Dobrze, dobrze, ale chciałbym go widzieć przy jej łydce!" Pani Greuze ma głowę bardzo piękną i nic nie przeszkodzi panu Greuze'owi także kiedyś mruknąć przez zęby: „Dobrze, dobrze, ale chciałbym ją widzieć przy jej piersi!" Tak się nie stanie, ponieważ pani Greuze jest stateczna. Żółty kolor i miękkość piersi są winą pani, ale matowość i brak przejrzystości są winą pana.

(Salon z 1765 roku)

BOUCHER

Co za kolory! jaka rozmaitość! co za bogactwo przedmiotów i pomysłów. Jest w tym człowieku wszystko poza prawdą. Nie ma w jego kompozycjach fragmentu, który by oddzielony od innych, nie wzbudził tego zachwytu, nawet całość ciebie uwodzi. Pytasz: ale gdzież widziano pasterzy ubranych z taką elegancją i przepychem? Jakież wydarzenie kiedykolwiek zgromadziło w jednym miejscu, na głuchej wsi, pod łukami mostu, z dala od wszelkich osiedli, kobiety, mężczyzn, dzieci, woły, krowy, owce, psy, wiązki słomy, wodę, ogień, latarnię, kuchnie, dzbany, kociołki? Co robi tam czarująca kobieta, tak wystrojona, tak wymuskana, tak lubieżna? a te dzieci, które bawią się i śpią? a ten mężczyzna, który za chwilę ogień sobie wywróci na głowę, czy jest jej mężem? do czego mu są potrzebne żarzące się węgle? skąd je wziął? Jaki zgiełk wywołują te różnorodne przedmioty! Czujesz ich całą absurdalność, a przy tym wszystkim nie możesz odejść od obrazu. Przyciąga cię, powracasz do niego. Wady jego są tak przyjemne, dziwactwa nie do naśladowania i tak rzadkie! Tyle wyobraźni, kunsztu, magii i zręczności!

Kiedy przyglądasz się długo pejzażowi, jaki przed chwilą naszkicowałem, wydaje ci się, że widziałeś wszystko. Mylisz się, odnajdziesz w nim nieskończoność świetnych rzeczy!... Nikt nie zna tak jak Boucher sztuki światła i cienia. Jest stworzony, aby zawrócić w głowie dwom rodzajom ludzi, światowcom i artystom. Jego elegancja, minoderia, romantyczna dworność, kokieteria, smak, zręczność, rozmaitość, przepych, uszminkowane twarze, swawolność muszą podbić fircyków, zalotnice, młodych ludzi, ludzi światowych, tłum tych, którzy nie wiedzą, czym jest dobry smak, prawda, rozsądek, surowość sztuki. Jakżeż mogliby oprzeć się błyskotliwości, wdziękom, nagościom, rozpuście, epigramatowi Bouchera? Artyści, którzy widzą, do jakiego stopnia człowiek ten pokonał trudności malarstwa i dla których zasługa ta, którą oni jedni potrafią ocenić, jest wszystkim, klękają przed nim, jest on ich bogiem. Ludzie o wielkim smaku, surowym i antycznym, mają go za nic. Jest on zresztą prawie tym samym w malarstwie, czym Ariosto w poezji. Ten, którego jeden z nich zachwycił, będzie niekonsekwentny, jeśli i za drugim nie będzie szalał. Mają obaj, myślę, ten sam styl, ten sam koloryt. Boucher ma tak dalece własne dotknięcie, że gdyby na jakimkolwiek płótnie dano mu do wykonania jakąś postać, poznałoby się go natychmiast.

(Salon z 1761 roku)

*

Nie wiem, co o tym człowieku powiedzieć. Zepsucie smaku, koloru, kompozycji, charakterów, wyrazu, rysunku idzie krok w krok za upadkiem obyczajów. Co chcesz, aby artysta ten umieścił na płótnie? to co ma w swojej wyobraźni; a jaka może być wyobraźnia człowieka, który spędza życie z kurtyzanami najniższej kondycji? Wdzięk jego pasterek jest wdziękiem panny Favart w „Róży i Colas"; wdzięk bogiń pożyczył od panny Deschamps. Idę w zakład, że nie ma takiej wsi, gdziebyś znalazł źdźbło trawy z jego pejzażu. A potem nagromadzenie przedmiotów, nagromadzonych jedne na drugich, tak chaotycznych i różnorodnych, że przypomina to raczej sen wariata, niż obraz człowieka przy zdrowych zmysłach. To o nim zostało napisane:

...Velut aegri somnia, vanae
Fingentur species: ut nec pes,
nec caput...
Horatius: De Arte poetica V. 7.

Ośmielam się powiedzieć, że człowiek ten nie wie naprawdę, czym jest wdzięk; ośmielam się powiedzieć, że nigdy nie znał prawdy; ośmielam się powiedzieć, że pojęcia delikatności, zacności, niewinności, prostoty stały mu się zupełnie obce; ośmielam się powiedzieć, że ani przez chwilę nie widział natury, przynajmniej tej, która powsta-

(Dokończenie na stronie siódmej)

Franciszek Boucher — Wenus i Kupido

OBROŃCA GUSTÓW TRZECIEGO STANU

DIDEROT pozostał najbardziej pasjonującym pisarzem francuskiego Oświecenia. Czego się tylko tknął, stawało się żywe, twórcze, oburzające, wywoływało skandal obyczajowy, polityczny, naukowy, budziło wrzenie intelektualne. To przecież Diderot zrobił „Encyklopedię". Wymusił ją na filozofach i uczonych, wywalczył od drukarzy i wydawców, którzy lękali się zarówno niepowodzeń finansowych jak i kryminału za kontynuowanie tak groźnego wydawnictwa. Pomysł był rzeczywiście szalony: dzieło miało zawierać całość współczesnej wiedzy, podanej w sposób dostępny dla ludzi umiejących myśleć. I do tego jeszcze barwne plansze, obrazujące rozwój sztuki i rzemiosł. Te obrazki były tylko pozornie niewinne.

Kartezjanizm był metodą myślenia. Ale co innego jest rozprawiać o ruchu gwiazd, naturze ludzkiej i prawidłach postępowania naukowego, a co innego o podatkach, przywilejach, religii, moralności i władzy królewskiej. To była właśnie rewolucja umysłowa. Zaczęto w sposób naukowy badać istniejące urządzenia społeczne, zastanawiać się nad przyczyną nierówności ludzi, nad źródłem władzy i przywilejów. I do tego właśnie były potrzebne obrazki, pokazujące jak pracują ludzie, jak się wytwarza towary, jakie postępy uczyniła technika. To była wielka przemiana stylu myślenia: pierwszy tryumf mieszczańskiego empiryzmu.

Diderot był wielkim pisarzem. W swoich utworach mieszał wszelkie gatunki i rodzaje: powiastkę filozoficzną i wykład naukowy, dyskurs teoretyczny i osobisty pamflet, malowidło obyczajowe i kartezjański styl maksym. Traktat estetyczny przetykał pieprznymi anegdotami, w listach umieszczał całe filozoficzne rozprawy, znajomych i przyjaciół wsadzał żywcem do swoich utworów.

Był wielkim wychowawcą mieszczaństwa w przeddzień ostatecznej walki z feudalizmem. Działalność jego objęła wszystkie gatunki sztuki: był teoretykiem malarstwa i muzyki, literatury i dramaturgii. Zamierającym kanonom klasycyzmu przeciwstawiał studium natury, arystokratycznym konwencjom tragedii — obrazy mieszczańskiego życia. Sztuki, które pisał, były nudne, ckliwe i moralizatorskie. Co z tego? Tragedie Woltera czy Crebillona były końcem epoki, sztuki Diderota zapowiadały przyszłość. Diderot rozbijał klasyczny podział na rodzaje literackie, na komedię, zarezerwowaną dla bohaterów z gminu, na tragedię, do której mieli prawo wyłącznie szlachetnie urodzeni. Diderot bronił prawa do wzniosłych uczuć, do patosu, do dramatu dla bohaterów z mieszczaństwa. Jego płaczliwa komedia — to przecież późniejszy dramat mieszczański z życia średnich sfer. Tragedię **charakterów** zastąpić chciał tragedią **sytuacji społecznych:** adwokata, pisarza, rzemieślnika, kupca. Jeden z pierwszych zrozumiał ogromną rolę Richardsona. Był realistą z instynktu, z gustów artystycznych, z doświadczenia społecznego. Pisał:

„Oskarżacie Richardsona o dłużyzny! Zapomnieliście chyba, ile kosztuje trudu, trosk, starań, aby najmniejszą sprawę doprowadzić do końca, wygrać proces, doprowadzić do zawarcia małżeństwa, zawrzeć ugodę. Myślcie sobie o tych szczegółach, co się wam podoba, ale dla mnie są interesujące, jeśli są prawdziwe, jeśli wydobywają namiętności, jeśli pokazują charaktery.

Są one pospolite, mówicie; widzi się je codziennie! mylicie się; dzieje się to codziennie przed waszymi oczami, ale czy nie widzicie tego „nigdy"?

Diderot był wielkim krytykiem. Od jego „Salonów", periodycznych recenzji z wystaw, dołączanych do listów Grimma, rozpoczyna się krytyka malarska we Francji. Ale „Salony" są nie tylko jednym z najświetniejszych przykładów krytyki malarskiej, uprawianej przez pisarza. „Salony" są wielkim wzorem krytyki walczącej. Diderot ocenia arystokratyczną sztukę jako ideolog trzeciego stanu.

„Salony" są jednym z najlepszych przykładów rewolucji gustów, świetną ilustracją do tezy o klasowych ruchach masowych, które są jedynym źródłem wartości. Diderot z namiętnością, z pasją, z całą świadomością broni gustów i estetyki swojej klasy.

Zaczyna od analizy literackiej, opowiada własnymi słowami treść obrazu, ale są to tylko środki, aby pokazać styl, sposób widzenia rzeczywistości, sens ideowy i artystyczny obrazu. Diderot pokazuje ludzką prawdę malarstwa, a ta ludzka prawda jest prawdą klasową. Diderot broni Greuze'a, Chardina, Verneta, atakuje Bouchera, Fragonarda, Lagrenée. Żąda mieszczańskiej tematyki, ale broni mieszczańskiej uczuciowości, moralności, prawdy. Wielkim modelem jest dla niego natura, ale natura, moralność, prawda są dla filozofów osiemnastowiecznych, jedynie obrazem świata wolnym od pęt feudalnych. Wierność wobec natury nie jest przeciwstawiona wyobraźni, wierność wobec natury przeciwstawiona jest umowności sztuki dworskiej, fałszywym sielankom Bouchera, całej minoderii i rozkosznego grymasu sztuki rokoka.

I dlatego Greuze ze swą mieszczańską tematyką, że swą ckliwą sentymentalnością, z obrazem drobnych tragedii codziennego życia jest mu bliższy od rozkosznych „fêtes galantes" Bouchera czy Vatteau. Walka toczy się jeszcze o prawo do uczuć, o szacunek dla mieszczańskiej obyczajowości, o wprowadzenie do sztuki wyklętej przez klasycyzm codzienności. Nie nadszedł jeszcze czas heroicznego kostiumu Rzymian, który Dawid narzuci na plecy sklepikarzy.

„Salony" Diderota jeszcze dziś mogą nauczyć odczytywania ideologii w stylu malarstwa. Walka o gusta, walka o styl, jest bowiem zawsze walką ideologii. I kiedy mówią nam natura, musimy zawsze spytać: jaka?

Jan Kott

JÓZEF SŁOTWIŃSKI

FILOZOFIA JANA SMOSIA

ilustrowała MARIA HISZPAŃSKA

Barak trzydziesty ósmy miał wszystkie drzwi i okna otwarte na przestrzał.

W pierwszej, szczytowej izbie panowała leniwa cisza. Przeważna część mieszkańców uciekła spod niskiego, rozpalonego pułapu i rozlazła się po obozie w poszukiwaniu cienia pod kilku rachitycznymi sosenkami lub rozłożyła koce pod ścianą większego drewniaka, w którym mieścił się obozowy teatr.

Na dusznej sali pozostało tylko kilku nagusów. Adwokat „Łysy", okręcony w pasie mokrym ręcznikiem, leżał na piętrze żelaznego łóżka pod oknem. Maczał od czasu do czasu w kuble wody improwizowane „figi" i wodził leniwym, sennym wzrokiem po ostatnich stronach „Pommerische Zeitung", pełnych życiorysów „niemieckich bohaterów", poległych pod Stalingradem. Pod nim, na parterze, rozebrany do naga i szczelnie owinięty w koc, jako że „wełna jest najlepszym izolatorem upału", pocił się niemiłosiernie Bunio „Filozof", zajęty chwilowo obserwacją polowania czarnego pająka na szukającą śmierci muchę. Oblane resztką brukwianki okno podpierał „Mały" Jan. Patrzył bezmyślnie na piaszczysty, żółty, pustynny wygon, na którym profesor „Hindus" prażył żebrowate cielsko, „zabijając promieniami słonecznymi bakcyle chorobotwórcze" i nękający wszystkich w tym okresie głód. Chwilami Mały budził się, odrywał oczy od pola i zaglądał niespokojnie w drugą przegrodę sali. W tej, o wiele mniejszej części, przezwanej „klatką", odgrodzonej od reszty dwoma trzypiętrowymi łóżkami, leżał z rękoma pod głową „Chudy" Józek i ukradkiem podpatrywał siedzącego obok na ławie olbrzymiego, tłustego, spoconego chłopa, który rozłożył na podołku drewnianą paczkę z żarciem, krajał potężne kromy białego chleba, nakrywał je masłem, posypywał mocno pieprzem, garnirował „krakowską" i wbijał teraz czwartą porcję, zapijając mocną neską.

— Nie siorp tak, do diabła! Nie nauczyli cię jeść! — wyrwało się „Chudemu".

— Jem, jakem zwyczajny... a tobie nic do tego. Możesz nie słuchać!

— Rzygać się chce, psiakrew! Żresz jak świntuch!

Jan Smoś uśmiechnął się oblśnie.

— Może ja i świntuch, ale niegłodny. Ot co! Kup se, toteż będziesz miał i siorpanie nie będzie cię gniewać!

Józek nie odpowiedział. Nawet wstyd mu było, że się odezwał. Zlazł z wyrka, ściągnął sznurkiem opadające z brzucha kąpielówki, napił się wody i wyszedł z klatki. Niezdecydowanie zatrzymał się przy łóżku adwokata..

— Masz co zapalić?

— Bredzisz chyba — mruknął zapytany, nie odrywając oczu od gazety.

— Cholerny czas! Takiej bryndzy nie pamiętam — usprawiedliwiał się Józek. — Ostatnia paczka przed miesiącem... Ostatni papieros wczoraj...

Łysy odłożył gazetę, podniósł się na łokciu. Józek wyglądał źle, a przy tym należało mu zmienić kompres.

— Spytaj Smosia, może pożyczy trochę machory. Obiecali mi jutro..

Chudy wzruszył ramionami.

— Mówisz jak dziecko. Gdzież ci, bracie, on darmo co da! Wczoraj potrącił mi kromkę chleba „za procent" od kupionego swetra. Powiedział, że jeden rękaw za krótki.

Adwokat rzucił gazetę na półkę.

— Nic, Józiu, nie pozostaje nam innego, jak tylko czekać. Ja jestem czysty jak kolano. Twoje portki zjedliśmy, moje karty też poszły. Kuniec!

Józek nie ruszał się z miejsca.

— Przyniosę jeszcze walizkę, tą z bielizną.. Może co znajdziemy...

Po chwili przyjaciele robili dokładny przegląd łachów. Jeniecka chudoba była więcej niż mizerna. Mieli do spółki drugą parę bielizny, brzytwę, pędzel, kawałek mydła, trzy pary podartych zimowych skarpetek. Wszystko to nie przedstawiało żadnej wartości handlowej. Zdesperowany Chudy pchał graty z powrotem do kuferka. W momencie jednak, kiedy zwijał brudną koszulę w kratki — z fałdów jej wysunęła się brązowa taśma. Szelki!

Koledzy spojrzeli na siebie.

— Zapomniałem o tym kawałku na śmierć! To jeszcze z dobrych czasów — wyjaśnił Chudy.

— Pokaż to bliżej — Adwokat obejrzał towar dokładnie. Klamry były dobre, niklowane. Łapki na solidnej skórze. Guma niewyciągnięta. Nie noszone.

— Potrzebne ci to Józku?

— Po diabła, chyba, żeby się powiesić!

— To jest coś warte w każdym razie. W sklepie może by dali kilka amerykanów. Żeby tylko znaleźć kupca.

Adwokat naciągał w skupieniu spodnie, rozważając gruntownie słabe możliwości sprzedaży luksusowego bądź co bądź towaru w okresie powszechnej bryndzy. Sprawa wydawała się bardzo trudna.

— Oddamy z wolnej ręki, bez targu, za ćwiartkę chleba i dwa cygara. Tyle chyba dadzą — mówił podniecony Józek, zamykając pośpiesznie walizę.

— Czekaj! — Łysy spoważniał, wyciągnął powoli nogę z nogawki i przysiadł na taborecie. — A co byś ty Józiu powiedział, gdybyśmy te szelki spuścili Smosiowi? Hę?

Józek zwinął szelki w dłoni.

— Czyś ty z byka spadł? Weźmie darmo, albo da ci dwa papierosy... na raty.

— A jeżeli da więcej?... Zresztą rób, jak chcesz. Twoje szelki. Albo mi wierzysz, albo sam sprawę załatwiaj i daj mi spokój!

— Ja tylko nie chcę, aby nas oszwabił — łagodził Józek. — A ty od razu... Ugryzło cię co?

Adwokatowi gęba pojaśniała. Poklepał kochanego chłopa po ramieniu. Potem przyłożył palec do ust i wskazał w stronę jedzącego Smosia.

— Weź szelki do walizki i hulaj z nimi na siennik. Trzymaj fason, a resztę zostaw mnie! — To mówiąc wskoczył na łóżko i zaczął grzebać na swojej półce w poszukiwaniu

czystej kartki papieru, obsadki i kałamarza... Józek patrzył na niego zrezygnowany.

— Nic nie rozumiem. Ty jesteś bardzo mądry, ale jak dasz ogłoszenie na parkanie ,będziemy czekać dwa tygodnie, nim się jaki wariat złapie!

Chudy machnął ręką, zabrał walizę i powrócił do klatki.

*

Minęło pół godziny a może i cała godzina, bo cień ram okiennych przeniósł się na gliniany piec. Adwokat, dziś dyżurny na sali, przyniósł z centralnej kuchni dwie konwie dymiącej mięty i postawił na stole naprzeciw drzemiącego Smosia.

— Cholerne gorąco w izbie, Jasiu — zagadał — Zamiast gnić tutaj, poszedłbyś na pole! Coś jakby zaczęło pociągać od lasu...

Smoś otworzył jedno oko. Przeciągnął tłuste, obwisłe cielsko i ziewnął.

— A... a.. Zdałoby się odrobinę przeciągu bo gorąc okropny — rzekł skrobiąc się po czuprynie — Wieczorkiem człek dopiero żyć zaczyna, kiedy psiekrwie zaganiają do baraków!

— Psuje ci to interes, Jasiu — co? Sklep pusty, ogłoszeń mało...

— I... i... — machnął ręką „Jaś" — jaki tam z wami handel! Same dziady! Mój tato nieboszczyk w grobie się przewraca.

— No — nie przesadzaj, braciszku. Przy twojej główce na pewno paczuszki tam i nazad do mamy i od mamy chodzą regularnie. Może nie?

— Jedna na tydzień. Najwyżej! I to szkopy się drożą. Trzeba im stawiać bez końca — łobuzom zatraconym!

Adwokat nalał sobie kubek mięty i przysiadł się bliżej.

— Wiesz, Jasiu, co? Pyskują na ciebie i pyskują, ale ja wiem, żeś ty morowiec i tyle. Nie dajesz się nabijać... a nam takich ludzi będzie potrzeba...

Smoś pogładził się z zadowoleniem po podbródku. Nachylił się do Łysego.

— A co, mecenasku! Co mam robić? Zdechnąć? Płakać? Ja niczyjej krzywdy nie chcę, ale i swojego nie dam. Ot co! Tak mnie nieboszczyk uczyli. Handel — taki fach dobry jak każdy inny. A że nie wierzę nikomu, to i mam co jeść! — odsapnął. — A jak się dadzą ciemne frajery nabijać, to nie moja wina. No nie?!

Łysy był całkowicie po jego stronie

— Pewno — przyświadczał wyraźnie — kto by tam durniów żałował!

Smoś spojrzał ukosem na adwokata. Coś mu się w tym chłopie dotąd nie zgadzało. Zresztą — pomyślał — wszystko jedno. Wyciągnął papierosa, odciął scyzorykiem połówkę i położył na stole przed Łysym.

— Masz mecenasku, zapal se! Ty jeden wiesz, jak mnie wziąć. Chciałeś popalić — to se popal!

Mecenas jednak ręki nie wyciągnął. Popijał ziółka, senny, mętny...

— Dziękuję ci, Janie. Nie będę palił. Za gorąco. Ja wiem, że ty masz dobre serce, ale dziś papieros to pieniądz...

Jan zaczął mrugać nierozumiejącymi oczyma. Przechylił głowę i zaniemówił na chwilę. Patrzył. Łysy jednak spokojnie kiwał się nad kubkiem i rozmazywał palcem rozlane na stole krople mięty.

— Wisz, mecenasku, alboś głupi.. alboś.., alboś mądry. Nie chcesz palić — nie pal. Wszyscy u mnie żebrzą — a ty honorowy jesteś! Nawet, powiem ci, podobasz mi się i lubię cię! Toś se powinien cenić. Smoś cię lubi! Szkoda tylko żeś nie znał mojego nieboszczyka. To była dusza-człowiek!

— Mówisz o swoim ojcu, Jasiu — co?

— A o kimże by! To był mądry chłop, filozof, gospodarz! Miał dwa folwarki i handlował końmi — Smoś widocznie się zapalał. — Kiedym miał osiemnaście lat, ojciec wyprowadził źróbka ze stajni, założył mu worek owsa na grzbiet i zawołał mnie. Masz tu — powiedział — Jasiu, dobrego źróbka, masz dla niego owsa worek, a tu masz — wyjął portfel — tysiąc złotych, bo mnie na więcej nie stać. A teraz idź se w świat, bo nas dwóch doma za dużo! A na pożegnanie jeszcze mi rzekł takie słowa: przykazuję ci na drogę życia jedno — i to se zapamiętaj: wszyscy ludzie na świecie to są sukinsyny i oszusty, inoś ty jeden porządny!

— Pocałowałem tata w rękę... i wyszedem na człowieka. Co?

Smoś wsadził obie łapy do kieszeni i czekał. Adwokat podniósł się z ławy, zakładał furażerkę na czoło.

— Byczy chłop był twój stary, Smosiu! — powiedział, klepiąc kolegę po włochatym ramieniu. — Tyś jest też fajny chłop! Chodźmy się przejść po obozie. Pociąga od lasu. Opowiesz mi jeszcze o tym źróbku, bo ja przepadam za końmi...

Smoś nie opierał się. Chyba naprawdę pociągało od pola. A „źróbek" to była jego najmilsza „gadka". Poszli.

Chudy grzebał się ze snu długi czas, zanim otworzył oczy. Chwycił go ostry kaszel. Profesor Hindus, który powrócił ze słonecznej kąpieli i chodził teraz z książką w ręku po izbie, podał mu kubek ciepłych jeszcze ziółek. Adwokata ani Smosia na sali nie było. Widocznie nie udało się z szelkami...

*

Chudy wrócił do poprzedniej pozycji, twarzą do ściany. Żeby to można — myślał — przespać ten czas, żeby to można zdrętwieć, a zbudzić się u krańca bezmyślnej mordęgi... Idiotyzm! — Potem przyszła na niego znowu długa chwila ciszy.

Józka zbudził gruby, dudniący bas Smosia. Wielki Jan wrócił przed chwilą do izby i przemierzał ją dużymi krokami, trzymając swoim zwyczajem ręce w kieszeniach.

— Chłopcy! Ma kto z was co ciekawego do sprzedania? Mogę kupić!

Smoś mówił w przestrzeń, ale pytanie kierował wyraźnie w stronę klatki.

Chudy zadygotał. Nie bardzo rozumiał. Smoś na ogół zawsze czekał na okazję, aby orżnąć potrzebującego. Miał swoje metody, którymi terroryzował całe jenieckie bractwo. Taka oferta nie leżała w wachlarzu jego „sposobów".

— Pytam się — powtórzył — czy nie ma kto z was czego do spuszczenia? Podgońcie, bo nie mam czasu! Mogę dać boczek, chleb, cygara... — wyliczał na palcach.

Kilku kolegów ruszyło na to wezwanie. Zgłaszali skarpetki, jeden wyciągnął ręcznik z niebieskim szlaczkiem, profesor oferował słownik...

Smoś nawet nie spojrzał.. Krążąc po izbie, zatrzymał się przy łóżku Chudego. — No a ty, Józiu — nie masz czego ciekawego z ubrania? Kupiłbym!

Chudy obrócił się powoli. W głębi sali, poza Smosiem, siedział na ławie pod piecem adwokat i spokojnie patrzył w ich stronę. Potakiwał nieznacznie głową.

— Może bym — odrzekł z nieznanym mu aktorstwem zahypnotyzowany Józio — może bym i co znalazł, ale ty tego pewnie nie szukasz...

Chudy wyraźnie odczuł „powiew uwielbienia" od strony pieca.

— No! Co masz, to dawaj! — nalegał Smoś.

Józek powoli ściągał walizę. Grzebał, wywracał, nic ciekawego nie mógł znaleźć. Wreszcie wydobył szelki. Smoś wyciągnął łapę, ale szybko ją cofnął. Obejrzał się po sali; nie lubił świadków. Wszyscy jednak byli zajęci swoimi sprawami. Adwokat drzemał po dwóch rundach, które razem odbyli naokoło obozu.

— Pokaż no je bliżej! Pewnie stare...

— Jak ci stare, to nie bierz — wycedził Chudy.

Adwokat promieniał. Smoś obejrzał towar w świetle, naciągał gumy, badał szycie..

— Co chcesz za to?

Józek wyraźnie nie wykazywał większego zainteresowania. Chował skrzętnie oczy. Za często może ziewał...

— A po co ci to?

Smoś ważył szelki w ręce, jak margarynę. Obejrzał raz jeszcze.

— Nawaliły mi moje — usprawiedliwiał kupno — trudno portki w garści trzymać. Pisałem babie, ale nie wiem, kiedy paczka przyjdzie... Dam ci — ważył — jak dla ciebie, pięć cygarów i napijesz się kawy z cukrem w niedzielę.. za procent.

Józek spojrzał ukradkiem pod piec, na ławę i... sięgnął po szelki.

— Daj, nie będziemy robić handlu Smosiu! Obejdzie się.

Smoś cofnął rękę.

Nie śpiesz się tak. Jeszcze nie wychodzimy z kryminału. — Dam ci pięć cygarów i pół puszki mie-

lonej kawy. Brazylijki! Widzę, nie masz co kurzyć. Zgoda?

— Niezgoda! — zaciął się Chudy. — Nie będziemy gadać.

— Widzę, Józiu, żeś się na mnie dziś zawziął. Niech będzie — ja lubię handel. — Poklepał przyjaźnie Józka po ręce. — Dodam ci jeszcze pół kubka płatków, będziesz miał kolację. Daj rękę!

Chudy dygotał. Cena była bardzo dobra. Jedyny sens sprzeciwu widział w skupionym przyjacielu adwokacie, który nasunął furażerkę na oczy i, oparty o piec, rytmicznie, uparcie przeczył głową.

Powoli rozmowa przedostawała się z klatki na salę. Bunio „Filozof" wylazł z koca i nadsłuchiwał. Mały Jan wynalazł sobie punkt obserwacyjny pomiędzy łóżkami; profesor przetarł okulary i stawał przed nowym ciekawym problemem. Wszyscy odczuwali, że dzieje się coś niezwykłego. Targ o szelki nabierał symbolicznych kolorów.

— Nie dam ręki — mówił ciężko dysząc Józek. — Oddaj szelki!

*

Smoś był purpurowy. I miał powód ku temu. Ten olbrzymi, bezwzględny cham, którego egoizm, samolubstwo i zimny wyzysk odnosiły niepodzielne zwycięstwo w skupisku biernych ludzi — ujrzał nagle przed oczyma widmo klęski i to klęski w dziedzinie handlowej! Ostatkiem sił jeszcze politykował, ale jakże chętnie rozdariby tego chorowitego „kościotrupa", który uchodził za miękkiego i ustępliwego kolegę.

— Ki diabli! Co mu się stało? — myślał bliski rozpaczy.

Po krótkiej przerwie, w czasie której dojrzał, że coraz więcej jest na sali świadków, spróbował innej taktyki. Namawiał półgłosem, łagodnie, tłumaczył, przedstawiał i... dodawał po jednym papierosie i po odrobinie kaszy.

Chudy był blady poprzez opaloną skórę. Patrzył błagalnie na śpiącego adwokata, który — chyba zwariował — nie przestawał przecząco kręcić senną głową.

W końcu Smoś stracił nerwy.

— Chcesz mnie, psiakrew, zrujnować! — ryczał. — Tak robi dobry kolega? Małom ci dobrego zrobił? Kupiłem od ciebie wszystkie graty!! — Gadaj ostatnią cenę do stu tysięcy diabłów!

Józek przymknął oczy. Nie odpowiadał. Przerażenie go ogarniało na myśl, że olbrzym się cofnie i nie da nic.

Wobec wyraźnego braku odpowiedzi, Smoś chwycił się ostatniego sposobu. Ściągnął z belki dwa olbrzymie pudła wyładowane po brzegi torbami i paczkami i zaczął ciskać odrętwiałemu Józkowi na łóżko woreczki z kaszą, fasolą, bochenek chleba... kawał boczku.. neskę..

Zapanowała cisza. Profesor patrzył po twarzach kolegów i mrugał nieprzytomnymi oczyma, mały Jan wsadził do ust starą chustkę do nosa; Łysy przestał kręcić głową i, przytknąwszy palec do ust, przypominał Józiowi o braku palenia.

— A papierosy — wykrztusił Chudy.

Smoś był bliski płaczu. Złapał paczkę amerykanów i rzucił na nogi Józka. Potem wsadził szelki w kieszeń, zatrzasnął pudła i wyskoczył z baraku.

*

Po wyjściu „Jasia" ktoś nieśmiało zachichotał. Niezwykłość sprawy i niezwykłość ceny odebrała wszystkim mowę. Pierwszy profesor, wyborny empiryk, pobiegł truchcikiem do Józkowego łóżka i wspiąwszy się na taboret, z podniesionymi na czoło okularami, dotykał ręką poszczególnych paczek i sprawdzał ich zawartość. Potem zlazł ze stołka niby z katedry i stanął przed gronem słuchaczy:

— O ile mnie zmysły nie zawodzą — proszę panów — niezwykły fakt miał miejsce na tej sali — stwierdził naukowo.

Przyszło odprężenie. Izba zawyła z radości. Chudego jako tryumfatora zniesiono na rękach i złożono na stole.

— Gadaj, byku, jak to się stało? Coś mu zadał?

„Byk" tymczasem do siebie jeszcze nie przyszedł.

— Ja... ja też nic nie rozumiem. To on temu winien! — wskazał na Łysego, który wyglądał oknem za oddalającym się Smosiem.

— Sza! Panowie — rzekł adwokat, zwracając się do sali — Bez krzyku i wrzawy! Józiu, chowaj żarcie do kuferka! Zapraszamy was na kolację z kawą i cukrem! Profesor, robić ogień! Reszta, kto ciekawy, za mną! Coś wam pokażę!

Pochód synów dalekiej Abisynii po odniesionym zwycięstwie, musiał tak wyglądać, jak ta wesoła gromada nagusów, waląca olbrzymimi krokami za Łysym, który ich wiódł w stronę drewnianego płotu, obwieszonego setką różnych karteczek-ofert, niby ostatnia strona gazety handlowej.

Stanęli przed świeżo nagryzmolonym ogłoszeniem. Skupili się w gromadkę, czytali:

„Uwaga!! Wyjątkowa okazja!! Kupię nowe, nieużywane szelki! Płacę każdą cenę! Najchętniej papierosami! Zgłoszenia natychmiast: Blok IV, barak 42, sala 2, ppor. Kowalski".

Nie wszyscy zrozumieli o co chodzi. Dopiero mały, półtorametrowy Jan wyskoczył przed gromadę i krzyknął piskliwym głosikiem:

— Łysy! Jak pragnę Boga! W baraku 42-gim nie ma żadnego Kowalskiego! Lipa!!

*

Różowe chmury bladły na zachodzie i dobrze się już ochłodziło, kiedy powolnym, ciężkim krokiem Smoś wracał do swego baraku. Obleciał cały obóz, rozmawiał ze wszystkimi Kowalskimi, których było kilkunastu. Bezskutecznie! Na szelki nie było kandydata!

Kiedy wszedł na salę, panowała tam wielka radość. Kasza, płatki i kawa zrobiły swoje. Smoś poczuł się zupełnie obcy, zgnębiony, przegrany. Nikt na niego nie zwrócił uwagi. Poszedł do swojej klatki, wyciągnął się na łóżku.

Za chwilę poczuł, że ktoś go ciągnie za ramię. Był to Łysy.

— Jasiu, dziś przegrałeś — powiedział — Bałem się, że będziesz robił grandę, ale... w porządku. Wydaje mi się, że nie powinieneś żałować tej straty. Popatrz tylko, ilu ludzi nie pójdzie na głodno spać! Chodź — napijesz się z nami kawy „za procent"!

— Oj, mecenasku — ciężko odsapnął olbrzym, podnosząc się z siennika — tacy ludzie, jak ty, do niczego nie dojdą...! Że ci się udało nabrać Smosia — to ci winszuję! Ale kto widział to wszystko żarcie tracić na jeden wieczór...!

Józef Słotwiński

ALEKSIEJ NIEDOGONOW — przełożył LEOPOLD LEWIN

BIOGRAFIA

Kolyski sobie przypomnieć nie mogę. Chyba
po prostu zerwałem się rano
i z burką na plecach wichrami owianą
wyszedłem na wielką drogę.

Przestrzenie przemierzyłem ogromne —
wędrówek tyle i tyle miast!...
Gdzie byłem?
W gazetach nie pisano o mnie.
Dokąd szedłem?
Nie znajdziesz wśród gwiazd.

Lecz to pamiętam:
Zaledwie dniało —
niezmordowanie i przytomnie
gdzieś pod Madrytem
nabijał działo
artylerzysta podobny do mnie.

A potem na fińskim froncie,
Gdy huczał i płonął świat,
a my pod ogniem — niezłomnie,
tuż obok mnie w szeregu padł
żołnierz podobny do mnie.

I to mi jeszcze wryło się w pamięć:
Nad nieśmiertelnym prochem przyjaciela
z naszą kompanią, w noc i w zamieć,
trzykrotnie salut oddałem żałobny,
ja —
z twarzy całkiem do niego podobny.

Gdzie jestem dzisiaj?
Nie szukaj na mapie...
Mówią, że w Joggiakarcie,
mówią, że w Indochinach,
mówią, że w Grecji stoję na warcie
i w diabła strzelam z karabinu.

Nie fruwali nade mną w Wielkiej wojnie
zbawienia aniołowie —
siły
Ojczyzny mnie żywiły,
talizman odwetu
miałem przy sobie.

Aleksiej Niedogonow, wybitny poeta radziecki, autor poematu „Sztandar nad radą wiejską", laureat nagrody Stalinowskiej.

List z Paryża

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Rewelacje piśmiennictwa „wojennego"

Literatura ostatniej wojny obejmuje prawie jedną trzecią (29 proc.) ogółu książek, wydanych we Francji w okresie rozpoczynającym się od roku 1945/46: cyfra podobno dwukrotnie większa niż po pierwszej wojnie światowej. Zmienił się również typ wydawnictw: gdy po roku 1918 przeważał rodzaj beletrystyczny (relacje uczestników wojny, powieść „pacyfistyczna" gatunku Remarque'a i Dorgelèsa, reportaż literacki typu Duhamela „Żywotów męczenników"), obecnie większość pozycji stanowią fachowe sprawozdania o charakterze dokumentarno-historycznym.

Przoduje oczywiście firma E. Payot, od dawna wyspecjalizowana w tym dziale; tutaj wydawali swe prace wykładowcy Wyższej Szkoły Wojskowej, umiejący połączyć — co należało do tradycji francuskiego piśmiennictwa militarnego — precyzję techniczną ze szlachetnością języka (Marszałek Foch zasiadał w Akademii Francuskiej). W tej samej niebieskiej okładce, w której kiedyś ukazał się opis zwycięstwa nad Marną, pióra Joffre'a, dzisiaj wychodzą przekłady angielskich i amerykańskich sztabowców: np. płk. Shulmana „La defaite allemande a l'Ouest" (Inwazja w Normandii), marszałka Montgomery'ego „Ma guerre avec la VIII-e armée" (Walki VIII armii), dwa najpoważniejsze omówienia głównych frontów w Europie.

Autorzy francuscy interesują się tym razem raczej teorią ostatniej wojny, nie jej historią. Ale też doniosłość polityczna książek takich jak „La guerre des blindées sur les fronts d'Europe et d'Afrique" (Użycie czołgów w wojnie na frontach Europy i Afryki), E. Bauera, czy „Histoire militaire de la seconde guerre mondiale" (Historia militarna drugiej wojny światowej) generała L. M. Chassina, znacznie przekracza ich charakter studium wojskowego.

„Współczesne wozy wojenne poruszają się z taką szybkością, że państwa wielkości Francji lub Niemiec przestały być bezpieczne. Jeden „skok" dywizji pancernych, które się przedarły, niemożliwy do zatrzymania, kończy się dopiero na przestrzeni kilkuset kilometrów, gdy linia dostaw wydłuża się nadmiernie. Dzisiaj prowadzić wojnę mogą tylko państwa o terytoriach wielu tysięcy kilometrów kwadratowych. Inny decydujący czynnik: lotnictwo, wyklucza również możliwość zwycięstwa państw liczących mniej niż 80 milionów mieszkańców, bo tylko imperium zasobne we wszechstronnie zróżnicowany przemysł jest w stanie wyprodukować armię lotniczą". (Takie wnioski wysnuwa recenzent „Le Monde", marzec 1948)

„Niepodległość Francji się skończyła. Nie jesteśmy zdolni sami zabezpieczyć naszego terytorium. Toteż możemy zrezygnować z utrzymania wielkiej armii: raczej potrzebni nam są uczeni, planujący nowe wynalazki i środki zabezpieczenia".

Tezy tej literatury wykorzystuje zarówno propaganda proamerykańska, co postępowi antymilitaryści. W popularnej karykaturze, przedstawiającej ćwiczenia plutonu piechoty, oficer zadaje sierżantowi pytanie: „Co robicie w wypadku zaatakowania was bombą atomową?" „Daję ludziom rozkaz odwrotu na wzgórze 205, szykiem na czworakach".

JAK HITLER URATOWAŁ ANGLIĘ

W dwóch kolejnych numerach (październik — listopad 1948) „Le Figaro littéraire" publikuje wyjątki z przygotowywanej od trzech lat książki Liddel Harta, znanego sprzed wojny publicysty angielskiego, specjalisty od spraw wojskowych. Autor przeprowadził wyczerpujące wywiady z internowanymi generałami niemieckimi i zdobył informacje iście rewelacyjne: Liddel Hart pisze, że uważałby je za mistyfikację, gdyby faktów tych nie potwierdzili rozmaici dowódcy, którzy ze sobą porozumieć się nie mogli.

Z relacji generałów Mannsteina, Brauchitscha, Rundstedta i von Thoma wynika, że po klęsce Francji w lecie 1940 roku, Anglia ocalała nie dlatego, że wygrała powietrzną „bitwę o Londyn": imperium brytyjskie uratował — sam Hitler. Von Rundstedt zeznaje — a ośmiu oficerów sztabowych to potwierdza — że armia angielska byłaby pod Dunkierką okrążona i zniszczona całkowicie, gdyby Hitler nie wydał swoim dywizjom pancernym osobistego, telefonicznego rozkazu powstrzymania marszu.

„22 maja, posuwające się naprzód oddziały Guderiana odcięły Boulogne: następnego dnia Calais. W tym czasie Reinhardt osiągnął kanał Aire-Saint-Omer, odległy o niespełna 30 km od Dunkierki. Czołgi niemieckie docierały do portu, jedynego portu dostępnego dla przybliżającej się zwolna brytyjskiej armii ekspedycyjnej. W tym momencie — stwierdza Rundstedt — niespodziewany rozkaz telefoniczny pułkownika von Grieffenberga ze sztabu generalnego polecił armii von Kleista zatrzymać się na linii kanału — na osobiste życzenie Führera.

Rozkaz ten musiał pokrzyżować pierwotny plan generała Haldera. Wysłałem natychmiast protest, ale w odpowiedzi otrzymałem suchy telegram: „Dywizje pancerne mają się zatrzymać w odległości średniego zasięgu artyleryjskiego (13—15 km) od Dunkierki. Zezwala się tylko na akcję rozpoznawczo-ochronną".

Von Kleist oświadczył mi, że otrzymany rozkaz wydaje mu się nieporozumieniem „Postanowiłem zlekceważyć go i przekroczyć kanał. Moje samochody pancerne wkroczyły do Hazebrouck, przecinając drogę odwrotu brytyjskiego. Dowiedziałem się potem, że główny dowódca brytyjski lord Gort, znajdował się właśnie w Hazebrouck. Ale otrzymałem rozkaz powtórny, w tonie jeszcze bardziej kategorycznym, obowiązujący mnie do wycofania się na drugą stronę kanału. Nasze dywizje pancerne, gotowe do walki, stały tam bezczynnie przez trzy dni".

Von Thoma, dowódca wojsk pancernych w sztabie generalnym, powiedział mi, że jego czołgi dotarły do Bergues skąd widać już było Dunkierkę. Zwrócił się drogą radiową wprost do Komendy Sztabu, zaklinając, by pozwolono mu posuwać się naprzód. Na próżno. „Hitler sam zniszczył szanse zwycięstwa" oświadczył von Thoma, mówiąc o ówczesnym pomyślnym dla Niemców położeniu.

Generalowie hitlerowscy stwierdzają, że ich przewaga lotnicza była na tyle decydująca, zaś znaczenie nieprzygotowanej do walki armii angielskiej tak niewielkie, że inwazja powietrzna w lipcu 1940 miałaby szanse powodzenia — gdyby Hitler jej nie hamował.

Gdy Rundstedt robił Hitlerowi wyrzuty, usłyszał takie wytłumaczenie (dosłownie):

„Istnienie imperium brytyjskiego jest niezbędne dla cywilizacji. Anglia jest elementem równowagi światowej. Gotów jestem podać rękę Anglii, jeśli zostawi ona Niemcom swobodę w Europie. Powrót kolonii niemieckich do Rzeszy nie jest konieczny".

Książka Liddel Harta dostarcza nowych materiałów do tematu, nazywanego na Zachodzie „tragedią Hitlera", który uważał faszyzm za obrońcę Europy przeciwko proletariatowi i usiłował pogodzić się z mieszczaństwem angielskim i francuskim, by zmobilizować je do walki z ZSRR. Dla nas jest to jeszcze jeden dokument klasowego charakteru ostatniej wojny, szczególnie dzisiaj, gdy kontynuatorzy Hitlera, ze spóźnieniem odwdzięczają się za jego sympatię, żałując być może, że nie doceniali jej w odpowiednim czasie.

ZNIECHĘCENIE ŻOŁNIERZY

Pierre Clostermann, „pierwszy lotnik Francji", „następca Guynemera", najwybitniejszy pilot myśliwski drugiej wojny światowej, który w dwudziestym czwartym roku życia ma za sobą 33 zwycięstwa powietrzne, opublikował pamiętnik, odznaczony niedawno literacką nagrodą francuskiego Aeroklubu. Książka jego jest dokumentem atmosfery, w jakiej walczyli zachodni uczestnicy wojny — tak różnej od naszej, jakby się to działo w innej epoce. Trwają tu nastroje pierwszej wojny światowej: kult rycerskiego przeciwnika (Clostermann oddaje hołd zestrzelonym asom lotnictwa hitlerowskiego np. Nowotnemu), pojęcie „honoru" polegającego na dbałości o przepisy walki — uważane za ważniejsze niż ideologiczny cel wojny, zainteresowanie czysto sportowe dla typów maszyn nieprzyjacielskich itd. I tylko jeden ton odróżniający: melancholia żołnierza, narażającego życie, korzystającego ze świetnych urządzeń technicznych nowoczesnej wojny — a niedostatecznie pojmującego sens kataklizmu, w którym bierze udział. Krytyka francuska zarzuca autorowi „nastrój przygnębienia i dezorientacji w zakończeniu książki..."

Ale Clostermann, autor anachronicznego „pamiętnika bohatera" był, ostatecznie, przeciętnym żołnierzem, niezdolnym do analizy swego stanu duchowego. Zagubienie ideologiczne zachodniego uczestnika drugiej wojny najpoważniej ujął Antoine de St. Exupéry, piękna postać francuskiej literatury współczesnej, lotnik, pisarz i moralista, poległy w 1943 r. w okresie walk o Tunis. Jego „Nocny lot" (Vol de nuit"), powieść podejmująca temat odpowiedzialności etycznej współczesnego organizatora wielkiej linii samolotowej narażającego w imię postępu życie swoich pilotów, miała w polskim przekładzie okres popularności w latach 1932—6. Motyw odpowiedzialności jest obsesją St. Exupéry'ego (art. Zb. Bieńkowskiego w „Odrodzeniu") Postawa żołnierza kontemplującego swoje sumienie upodabnia go do tradycyjnego w kulturze francuskiej typu Bayarda, Rolanda, Cyda, w czasach nam bliższych reprezentowanego przez Ernesta Psichari, poległego w pierwszej wojnie autora przejmujących pamiętników. Ogłoszono właśnie list, znaleziony w papierach St Exupéry'ego, skierowany do generała X... stanowiący testament tego francuskiego Sułkowskiego:

„Przydzielono mi znowu P. 38. To piękna maszyna. Byłbym szczęśliwy z takiego prezentu 20 lat temu. Ale dziś, w wieku 43 lat, po sześciu tysiącach godzin lotu pod niebami świata, trudno mi znaleźć przyjemność w podobnej zabawie. Jest to — zaledwie — narzędzie przenoszenia się w przestrzeni, w tym wypadku, instrument wojenny. Jeśli poddaję się dziś szybkości i wysokości, to dlatego tylko, by nie wycofywać się z zasranych obowiązków mojego pokolenia, a nie po to, by odnajdywać satysfakcje lat młodości.

Może to jest melancholijne, może nie. Myliłem się raczej, gdy miałem 20 lat. W październiku 1940, gdy wracałem z Afryki Północnej, dokąd przeniosła się grupa 2-33, odkryłem powóz i konia. Następnie trawę. Owce i oliwki. Oliwki służyły tu innemu celowi; nie było ich zadaniem przesuwanie się za szybami z szybkością 130 km na godzinę. Ukazały mi się w prawdzi-

(Dokończenie na stronie siódmej)

JADWIGA ŻYLIŃSKA

Drobiazgi angielskie

CRICKET I PRZEWODNIKI PO WIELKIEJ BRYTANII

Jeśliby sądzić o zainteresowaniach Anglików na podstawie filmów, jakie oglądamy w Polsce, należałoby na pierwszym miejscu postawić psychoanalizę i zjawisko rozdwojenia jaźni; przegląd nowych wydawnictw przekonuje nas jednak, że najwięcej pozycji zajmuje nie psychoanaliza i — jak można by się spodziewać — Imperium, lecz cricket*). Na przestrzeni niecałego roku zostało omówionych w „The Times Literary Supplement", więc dodatku literackim, około dziesięciu książek, poświęconych cricketowi, co przewyższa wszystkie inne zagadnienia specjalne. Cricket jako taki i cricket jako zjawisko socjologiczne: „Czterdzieści lat cricketu w Anglii", „Przeciwnicy cricketu", „Cricket a życie rodzinne", „Karnawał crickecistów". Drugie po cricekcie miejsce zajmują chyba przewodniki po Wielkiej Brytanii. Już przed czterdziestu laty W. H. Hudson zauważył, że „Anglia ma więcej przewodników (guide-books) niż jakikolwiek inny kraj, a kto wie, czy nawet nie ma ich więcej niż wszystkie inne kraje razem wzięte". Nie ma chyba zakątka w Wielkiej Brytanii, monumentu rzymskiego, pamiątki celtyckiej, normańskiego zamku, katedry gotyckiej, gospody elżbietańskiej, domu z czasów Restauracji, pałacu z epoki królowej Anny, który by nie został opisany i umieszczony wraz z fotografią w przewodniku.

ANGLICY I ZWIERZĘTA

Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej prasa polska donosiła, że właściciele psów i kotów w Wielkiej Brytanii upominają się o maski przeciwgazowe dla swoich ulubieńców. Nie wiem, jak było w rzeczywistości, w każdym razie notatka ta jest nader symptomatyczna, jeżeli chodzi o stosunek Anglików do zwierząt. Nawet tytuły książek świadczą o jakimś przedziwnie żywym, jakby franciszkańskim uczuciu do nich. Powiedziałabym, że jest coś wzruszającego w samym ujęciu tematu — „Ptaki i ja" (Leslie Brown) albo — „W jaki sposób zaprzyjaźniłem się z ptakami" (A. F. Park). W recenzji o książce Brian Vesey Fitzgeralda czytamy „Pies jest zawsze psem, nigdy imitacją lub namiastką człowieka", co wydaje mi się zarówno naiwnym jak typowym dla Anglików sformułowaniem.

Z dotychczasowej mojej relacji można by wyciągnąć wniosek, że wyspy brytyjskie są zamieszkałe przez jakiś szczególnie nieszkodliwy gatunek rodzaju ludzkiego, oddany konserwacji zabytków i kultywowaniu tradycji, przywiązany do zwierząt i obciążony niewinną pasją do cricketa, a także rybołówstwa, jak to ładnie wyraził T. A. Powell w swojej książce pt. „Tu i tam wesoły pstrąg". Aż dziwne, że naród o takich zamiłowaniach i zainteresowaniach stworzył Imperium, stosunki kolonialne i obozy koncentracyjne, do czego się zresztą sam przyznaje z rozbrajającą szczerością, ale bez skruchy.

ANGLICY SAMI O SOBIE

Mam na myśli dzieło wydane przez Ernesta Barkera pt. „Charakter Anglii" (Clarendon Press), której obszerne omówienie znajduje się w sierpniowym „The Times Literary Supplement" br. Zaraz na początku czytamy: „Żaden inny naród nie ma tylu powodów do podziwiania samych siebie" (co Anglicy). Wydaje mi się, że taką opinię mogą wydać o danym narodzie tylko cudzoziemcy. Z chwilą, gdy ktoś twierdzi to sam o sobie — obojętne człowiek czy naród — dowodzi przede wszystkim złego smaku. Zdanie to zresztą zostało zmodyfikowane przez następne twierdzenie, że człowiek w ogóle nie postępował dotychczas tak chwalebnie, ażeby jeden miał prawo wynosić się nad drugiego.

Jedną z głównych cech Anglików — chociaż oni sami nie uświadamiają jej sobie — jest ich zupełna bezwzględność, „ruthlessness". Anglicy wytępili całą rasę — Czerwonoskórych w Ameryce, a na ich miejsce sprowadzili inną rasę, Murzynów, którzy jako niewolnicy byli traktowani z najdopisaną brutalnością. W Australii Anglicy dokonali eksterminacji ludności tubylczej w stopniu jeszcze wyższym niż w Ameryce. Udało im się to przeprowadzić za pomocą arszeniku, chociaż „używali jeszcze innych sposobów bardziej celowych, co zostało zanotowane przez Australijczyków. Ta cecha istnieje w charakterze Anglików po dziś dzień.

Na ogół Anglicy nie zdają sobie również sprawy ze swoich dyspozycji do grabieży. Ta skłonność znalazła swój wyraz w niekończących się wojnach zaczepnych, jak Wojna Stuletnia z Francją, wojny ze Szkocją i Irlandią oraz w wyprawach pirackich w okresie zdobywania kolonii. Nie wiadomo więc właściwie, dlaczego zwykli mówić o sobie jak o niewinnych barankach i w myśl tego ukuli slogan „Musimy zebrać razem wszystkie narody, miłujące pokój". Anglicy jednak nie są hipokrytami. Wierzą w to, co mówią i „na tym polega śmiertelne niebezpieczeństwo z ich strony dla innych". Jeżeli do tej bezwzględności i niespotykanej u innych narodów zdolności do izolacji i ignorowania zarówno dalszych jak bliższych sąsiadów, dodamy zamiłowanie do tradycji i pewnego szablonu oraz genialny zmysł poetycki, otrzymamy pewien zasadniczy zespół cech, formujących psychikę angielską. Tak już jednak jest na świecie, że zarówno o uroku człowieka jak narodu, o jego aurze psychicznej, decydują nie cechy i dyspozycje najważniejsze, ale pozornie nieuchwytne i wymykające się spod ścisłej definicji. O klimacie angielskiej literatury i jej charakterze narodowym nie stanowi ani bezwzględność, ani imperializm, ani niewątpliwa skłonność do liryzmu, lecz pewna specyficzna zdolność do działania zespołowego bez gubienia się w masie, zdolność, która sprawiła, że Anglicy będąc najbardziej zurbanizowanym i zindustrializowanym krajem nie stali się zurbanizowanym narodem, a posiadając największe w dziejach świata imperium, utrzymują kult dla prowincji. To, że w poważnym essayu, poświęconym edukacji i wychowaniu dzieci, autorka (Lady Violet Bonham Carter) rozpisuje się o postaci „Nannie" jako zjawisku socjologicznym w Anglii i porównuje nonsensowne rymy dla dzieci — ze względu na zawarty w nich ładunek liryzmu — z poematami o światowym rozgłosie, mogło się zdarzyć tylko w Wielkiej Brytanii. I to właśnie w sposób nieporównanie bardziej istotny określa charakter narodowy Anglików, niż fakt że założyli Imperium, gdyż łatwiej jest kogoś rozpoznać po znakach — jak to się pisze w dowodach osobistych — szczególnych, choćby były drobne, niż po cechach ogólnych, do jakich należy np. bezwzględność.

Na koniec jeszcze jedna nader ważna właściwość psychiki angielskiej, a jest nią wiara w happy-end. Nie wiadomo, na czym Anglicy ją opierają, czy jest ona rezultatem serii sukcesów w przyszłości, czy też jest natury bardziej irracjonalnej. Tak czy owak wierzą w happy-end i wiara ta, w czasie obecnego kryzysu i rozpadania się Imperium, pozwala im na zachowanie spokoju i humoru. Zresztą dwukrotnie już w swoich dziejach Wielka Brytania przeżywała podobne załamanie swojej struktury państwowej: po raz pierwszy zdarzyło się to za czasów Joanny D'Arc, po czym Anglia i Francja stanowiły dwa odrębne organizmy państwowe, po raz drugi, gdy Jerzy Washington ogłosił niepodległe Stany Zjednoczone. Dwukrotnie Anglicy musieli od nowa budować swoje państwo, a obecnie „muszą to zrobić po raz trzeci, lub zginąć".

HAPPY END

Kwestia przebudowy angielskiego Commonwealth była poruszona w Wielkiej Brytanii niejednokrotnie. Między innymi pisał o niej Sebastian Haeffner w „Contact Book" na rok 1946 w essayu pt. „Koniec Europy", gdzie wysuwał dwie możliwości: utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy z Wielką Brytanią na czele lub przystąpienie Wielkiej Brytanii, jako któregoś z rzędu stanu, do USA.

Ta ostatnia myśl, na razie w formie żartu jeszcze, zyskuje sobie pewną popularność w Anglii. Wystarczy zacytować kabaretową piosenkę, śpiewaną przez Western Brothers w Music-hallach angielskich w 1947/48 r.

„Of course we could declare war
to America,
let them win in a week
and then theyd have to keep
us for the rest of our lives"

(„Oczywiście możemy wypowiedzieć
wojnę Ameryce
i dać im wygrać w ciągu tygodnia,
a potem kazać się utrzymywać
przez resztę naszego życia")

Piosenka ta dowodzi poczucia humoru wysokiej klasy, ale bądź co bądź jest kapitulacją. Wielka Brytania jako ośrodek polityki światowej, schodzi coraz bardziej na dalszy plan. Ale zostaje jej przeszłość historyczna, której rola w miarę upadku wpływów politycznych staje się przedmiotem coraz większej troskliwości.

KSIĄŻKI Z HISTORII WIELKIEJ BRYTANII I MONOGRAFIE WIELKICH LUDZI

W ciągu 1947/48 roku zostały wydane dzieła, które tematyką swoją pokrywają całą omal historię Wielkiej Brytanii. Rozmyślnie pomijam pozycje dotyczące Imperium, koncentrując swoją uwagę na Wyspach.

Jacketta i Christopher Hawkes napisali dzieło pt. „Prehistoria Wielkiej Brytanii", David Douglas — „Początki Normandii", Earl of Onslow — „Książęta Normandii i ich pochodzenie", N. Denholm - Young — „Ryszard z Kornwalii" (wiek XIII), G. O. Sayles — „Średniowieczne podstawy Anglii", J. J. Bagley — „Małgorzata Anjou" (z czasów Wojny Róż), T. Dayrell Reed — „Początki Wessex" (wiek XIV), David Mathew — „Struktura socjalna Anglii za panowania Karola I i Karola II", F. C. Turner — „Jakub II", poza tym zostały wydane „Pisma i przemowy Olivera Cromwella" i wiele innych pozycji, których nie wymieniam.

Dopełnieniem dzieł historycznych są książki o dawnych obyczajach i monografie sławnych ludzi. Te pierwsze posiadają szczególny urok rzeczy bezpowrotnie minionych może dlatego, że cała nasza cywilizacja znajduje się w chwili obecnej na zakręcie dziejowym, spoza którego taki wiek XIX wydaje się znacznie bardziej oddalony, niżby to wynikało z istotnego dystansu lat. Do takich publikacji należą Alison Settle „Moda w Anglii", rzecz o modzie, Hugh MConstant, „Pojazdy angielskie". Donalda Picher „Styl Regencji", „Monarchia i polowanie", traktat o polowaniach w monarchii od czasów Normanów aż do najnowszych, wydawnictwo „Sabretache", E. S. Ducketta „Anglosascy święci i uczeni", dzieje anglosaskich świętych i uczonych.

Ogromna ilość dzieł została poświęcona sławnym ludziom, a szczególnie pisarzom. W ciągu tego roku doczekali się monografii: wszechstronnie utalentowany Maurice Baring, romantyczne siostry Brönte, Shelley, Byron, Miss Yonge, autorka najlepszego best-sellera z czasów królowej Wiktorii, Jonathan Swift, Dr. Johnson, Thomas J. Wise, twórca pamfletu wieku XIX, Caroline Morton, słynna feministka, Gavin Dunbar, wybitny kanclerz z XV wieku, kardynał Newman, zbiorowo pisarki XVIII wieku i „Pisarze wieku XVIII", jak Dryden Addison i Pope, a także pani Beeton, angielska pani Ćwierciakiewiczowa. Liczba pozycji — obejmujących dzieje Wielkiej Brytanii, i to dzieje w najszerszym tego słowa znaczeniu od zabytków z czasów rzymskich, poprzez trumnę ze zwłokami Św. Cutberte, dzieje królów, rewolucję Cromwella, historię starych pojazdów i polowań monarchów aż do pani Beeton — opublikowanych w latach 1947/48, jest doprawdy imponująca.

BILANS

W ciągu tysiąca lat Anglicy nie zaznali inwazji wroga i zdołali zachować na swoich Wyspach kolejne warstwy kulturowe w stanie omal nieuszkodzonym. Przez czterysta lat budowali Imperium, zakładali kolonie, byli panami świata. Materiał doświadczalny, który w ciągu tych wieków nagromadzili, jest tak olbrzymi, że może zaspokoić zainteresowanie pisarzy krańcowo różnych. Nawet egzotyka w literaturze angielskiej przestaje być eskapizmem, skoro najbardziej egzotyczne kraje należały niedawno jeszcze do brytyjskiej korony. Ale cóż, najlepsze dzieła o krajach podbitych przez Anglików napisał Polak — Conrad, a najlepsze utwory napisane przez Anglików mają jako tło po prostu prowincję angielską. Gdyż w gruncie rzeczy Anglicy nie są w stanie zrozumieć innych narodów. Natomiast z przedziwną pasją — jak to zauważył pewien Hindus w audycji BBC — opisują swój własny charakter narodowy. Głównym motywem tego zamiłowania jest nieustający podziw dla samych siebie. A stąd mamy już tylko jeden krok do przysłowiowej angielskiej hipokryzji. Anglicy zwykli przedstawiać fakty inaczej niż wyglądają w rzeczywistości i „tylko podświadomie w swojej literaturze odkrywają samych siebie".

Jadwiga Żylińska

*) cricket — gra w piłkę skórzaną uderzaną palantem

Gielniewski, Kwiatkowska, Wiśniewski, Pachońska i Żabczyński

KRONIKA RADZIECKA

Album pisarzy radzieckich

Wśród publikacyj, które ukazały się w swoim czasie z okazji trzydziestej rocznicy Rewolucji Paź dziernikowej, poważne miejsce zajęły wydawnictwa literackie. Wystarczy wskazać na fakt, że dotąd jeszcze wychodzą nakładem wydawnictwa „Sowietskij pisatiel" celniejsze utwory trzydziestolecia, które wchodzą w skład serii wydawniczej „Literatura radziecka 1917-1947".

Państwowe muzeum literackie (nawiasem zaznaczmy, bardzo ciekawa instytucja) wydała tekę portretów współczesnych pisarzy radzieckich pod redakcją Wł. Boncz-Brujewicza. Na dużych, pięknych planszach, wykonanych przez znanego grafika Anatola Jar-Krawczenkę przesuwa się przed oczyma czytelników galeria najbardziej znanych pisarzy.

Jak zapowiada w przedmowie do albumu redaktor Wł. Bończ-Brujewicz, w najbliższym czasie ma się ukazać następna seria portretów pisarzy radzieckich, których twórczość stanowi wartościowy wkład do radzieckiej prozy artystycznej, poezji, krytyki, publicystyki i dramaturgii.

Ponieważ nie każdy może sobie pozwolić na nabycie dość drogiego albumu w formacie wielkim (cena wynosi 150 rubli), muzeum literackie wypuściło na rynek księgarski zmniejszony format albumu. Wydanie to jest dostępne dla każdego miłośnika literatury.

Przyjemnie jest wziąć do ręki tę małą teczkę i przejrzeć zawarte w niej 55 portretów. Odnajdujemy wśród nich znane twarze: Erenburga, Gorkija, Szołochowa, Gładkowa, Katajewa, Korniejczuka, Simonowa i i. Ale niejeden z naszych czytelników po raz pierwszy chyba zetknąłby się tu nie tylko z twarzami, ale i z nazwiskami takich pisarzy, jak Ajbek, Tokombajew, Antanas Venclova, Leo Kiaczelli, Jan Jajnis, Andrej Upit. A są to przecież wybitni przedstawiciele literatury narodów zamieszkujących Związek Radziecki.

Album zaopatrzony jest w zwięzłe i pouczające informacje o każdym pisarzu, w których podane są najważniejsze szczegóły biografii, działalności nie tylko literackiej, ale i społecznej oraz wymienione są tytuły utworów. Oto czego na przykład można się dowiedzieć z takiej wzmianki o F. Gładkowie:

„Gładkow Fiodor Wasiliewicz, ur. w 1883 r. we wsi Czernawka, Saratowskiej guberni (obecnie należy do obwodu Penzeńskiego) w rodzinie chłopskiej. Ukończył instytut nauczycielski i przez szereg lat zajmował się pracą pedagogiczną. Brał udział w wojnie domowej w szeregach Armii Czerwonej. Jako pisarz debiutował w 1901 roku. Pierwszą większą powieść wydał w roku 1912. Tematem jej było życie na zesłaniu w Syberii, gdzie autor spędził kilka lat (został zesłany przez rząd carski za działalność rewolucyjną w latach 1905-1906). W 1919 roku napisał sztukę „Poburzy" („Burietom"), w 1922 r. — dramat „Wataha". W 1925 r. opublikawał swój najcenniejszy utwór „Cement". Później ukazały się powieści: „Tajemnica" (1926), „Energia" (1933), „Klątwa" (1944) oraz szereg opowieści, nowel i utworów scenicznych. Gładkow jest deputowanym do Moskiewskiej Rady Miejskiej, członkiem Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich, dyrektorem Instytutu Literackiego. Został nagrodzony orderem Lenina (1939) i Czerwonego Sztandaru (1943). Pierwsze wydanie dzieł zebranych Gładkowa w trzech tomach wyszło w 1925 r., drugie w 1927 r.".

W tym stylu zredagowane są wszystkie notatki: konkretnie, treściwie, zwięźle.

Trudno się oprzeć pewnej refleksji nasuwającej się w związku z tym wydawnictwem. Czy nie warto by pomyśleć i u nas o wydaniu albumu pisarzy polskich? Zdaje się, że byłby to poważny krok w dziedzinie upowszechnienia książki.

S. K.

CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
OSTATNIE NOWOŚCI

STEFAN ŻEROMSKI
PRZEDWIOŚNIE
Powieść
Str 342
zł 360

Nowość ***Nowość***
ANTONI MARCZYŃSKI
JEDNA SZALONA NOC
objętość 176 str. — cena 320.— zł
Poleca
KSIĘGARNIA
ZDZISŁAW GUSTOWSKI
POZNAŃ, ul. WIELKA 10
Do nabycia we wszystkich księgarniach

ARTUR MARYA SWINARSKI

POWROTY

Teatr Klasyczny w Warszawie. *Michał Rusinek:* „Kobieta we mgle", sztuka w trzech aktach. Reżyseria: *Janusz Warnecki.* Dekoracje: *Tadeusz Błażejowski.*

Z okazji wznowienia „Powrotu" Flersa i Croisseta w Miejskich Teatrach Dramatycznych w Warszawie, Zygmunt Leśnodorski dał na łamach inteligentnie redagowanego miesięcznika „Scena i widownia" przegląd *Powrotów,* granych ostatnio w polskich teatrach.

Na pierwszym miejscu figuruje „Penelopa" Ludwika Hieronima Morstina. Jest to co prawda sztuka o starym Odysie, wracającym z powojennej tułaczki, ale nie trudno doszukać się w tej metaforze problemu aktualnego. Pełna aluzyj do czasów dzisiejszych jest także „Wyspa diabelska" czeskiej pisarki i aktorki Olgi Scheinpflugowej-Czapkowej, mimo że bohater utworu nie wraca z wojny, lecz z więzienia.

W trzech pozostałych sztukach, Morozowicz-Szczepkowskiej („Powroty"), Zawieyskiego („Ocalenie Jakuba") i Hołuja („Dom pod Oświęcimiem") autorzy przemawiają już bez aluzyj i metafor, dają powroty ludzi z ostatniej wojny.

Pięć pozycji, w tym cztery pisarzy polskich. Sztuki wzbudziły zainteresowanie u wszystkich, dyskusje i polemiki (najmniej może „Powroty" Szczepkowskiej, bo tułały się po prowincji). Powstanie czterech utworów, zainteresowanie nimi i dyskusje dowodzą, że problem tych powrotów jest problemem żywotnym, że trzeba było i to wygadać, wypisać z siebie, że trzeba było kazać widowni przeżyć je na nowo, że sztuki spełniały wielorakie funkcje: uspokajania niepokojów, oczyszczenia, załatwienia, dopowiedzenia spraw niewypowiedzianych, a domagających się słowa.

W wymienionych sztukach zawsze mężczyzna wraca do kobiety. Michał Rusinek uzupełnił literaturę powrotów — powrotem kobiety do męża.

„Kobieta we mgle" nie robi wrażenia, że jest pierwszym dramatem powieściopisarza. Po krótkiej, zwartej ekspozycji, rozwija się akcja żywa i pewną ręką rozplanowana; jest kilka tak zwanych „efektownych wejść", kilka scen prawdziwie dramatycznych, doskonałe zakończenia aktów, dowcip, i język na ogół sceniczny. Sam powrót bohaterki ma wyjątkowość faktu autentycznego. Jest parę usterek: w akcie pierwszym za dużo Teresy, w drugim za dużo szukania torby, w trzecim za dużo psychoanalizy. Po prostu — w Teatrze Klasycznym obeszli się ze sztuką Rusinka ze zbytnim pietyzmem. Nasi dygnitarze nie mają szczęścia. W Teatrze Polskim potraktowano skrypt „Odwetów" Kruczkowskiego nie jak skrypt pisarza, ale jak skrypt ministra i nie odważono się porobić koniecznych skrótów. Skróty przydałyby się także w sztuce dyrektora Rusinka, szczególnie w drugiej połowie aktu ostatniego. Osoby dramatu bowiem nie wszystko muszą wypowiedzieć na scenie; trzeba zostawić im także trochę na ten długi okres po spadnięciu kurtyny...

Główną postacią sztuki i najbardziej dramatyczną jej postacią nie jest powracająca żona, ale kobieta, która chciała zająć miejsce tej żony. Istota bardzo złożona: miłość i egoizm, wyrachowanie, „casus pascudeus" z wykopaną biżuterią, kłamstwo i prawość tuż obok siebie, walka z widmem drugiej kobiety — wszystko to tworzy melanż interesujący, bardzo ludzki, bardzo wiarygodny w danej sytuacji i bardzo nadający się do wygrania. Ale *Ewa Pachońska* miała w swej grze luki i dlatego jej załamanie się w trzecim akcie było trochę niespodziewane i nieprzekonywające.

Wracająca po latach do domu żona nie jest postacią w całej pełni dramatyczną; jest zbyt bierną. Choroba, której sobie pacjentka nie uświadamia, to element wręcz antydramatyczny. Z chorobą na scenie bywa zawsze kłopot; przecież nawet „Upiory" Ibsena to w gruncie dramat nie Oswalda, lecz pani Alwing. I „Kobieta we mgle" nie miała być dramatem Anny, ale raczej Adama, Krystyny i po trochu doktora Nowaka. Lecz jest ta Anna znakomitą rolą — taką rolę może napisać tylko kierownik literacki teatru dla swej dyrektorki... Rola bardzo trudna i bardzo efektowna. Zafundował autor swej Annie aż dwa powroty: wpierw wraca kobieta chora, potem wraca zdrowa — dwie inne kobiety, dwie role w jednej; a nadarza się nawet sposobność zademonstrowania pięknej sukni i pięknego szlafroka — czy można wymagać więcej? *Maria Gorczyńska* należycie zrewanżowała się autorowi i zagrała rolę Anny nieskazitelnie.

Psychiatra Nowak powinien trzymać cały trzeci akt; powinien być silny, nawet trochę drapieżny — wówczas rozmowa jego z Adamem i Krystyną byłaby sceną doskonałą. Ale psychiatrzy w teatrach warszawskich wypadają blado — w „Faryzeuszach" zaś

Michał Rusinek

równo jak i w „Kobiecie we mgle", *Bogdan Szymkowski* był sztywny i niewyraźny.

Nie mogę się zgodzić na Teresę *Danuty Wodyńskiej.* Jej Teresa jest po prostu nieznośna. Przydałaby się tej postaci może spora dawka humoru; tekst roli nastręcza ku temu sposobność.

A już zupełnie niemożliwa jest *Irena Kwiatkowska.* Gdy w drugim akcie „Faryzeuszów i grzesznika" wchodzi na scenę wachmistrz żandarmerii, odnosi się wrażenie, że jegomość przez pomyłkę trafił tutaj z „Nitouche". Kwiatkowska przyszła prosto z „Seansu" i zaczęła popisywać się tanimi gierkami. Wystarczy spojrzeć na załączoną fotografię, by zrozumieć, jak jaskrawo Kwiatkowska odcina się od reszty zespołu. Jej partnerzy, *Mieczysław Gielniewski* i *Edmund Wiśniewski,* nie mogli sobie dać z nią rady. — *Aleksander Żabczyński,* jak zwykle, pełen prostoty i wdzięku.

Zarzuty skierowane pod adresem niektórych wykonawców „Kobiety we mgle" — to w dużej mierze zarzuty pod adresem jej reżysera, *Janusza Warneckiego.* Potrafiłby na pewno ze zdolnego zespołu Teatru Klasycznego wykrzesać więcej; Rusinek powierzył mu sztukę dobrą, o wyraźnie i konsekwentnie narysowanych postaciach, tymczasem Warnecki pełną opieką otoczył tylko rolę Anny. Oczywiście, jeżeli chodzi o sytuacje sceniczne, doświadczona ręka Warneckeigo nie zawiodła i tutaj.

Mieszkanie doktorostwa Jasińskich urządził *Tadeusz Błażejowski* ze smakiem; życzę mu, by sam mógł zamieszkać w tak sympatycznym wnętrzu — lepszego życzenia warszawiakowi złożyć nie można...

Artur Marya Swinarski

Wodyńska i Gorczyńska

WOJCIECH NATANSON

Z teatrów krakowskich

»Sen nocy letniej«

W „Śnie nocy letniej" przełamał Szekspir żelazną — zdawało się — regułę humoru. Niemal wszyscy komediopisarze śmiali się z tego, co było skazane na klęskę: z niedołęstwa, głupoty, zaślepienia, upokorzeń, choroby, zawodów miłosnych, a przede wszystkim — starości. Molier (nawet kosztem aluzyj do własego losu) ośmieszał starca, podejmującego beznadziejną walkę z prawami przyrody („Szkoła żon"); kiedy indziej szydził z tych, co przez lekkomyślność poddali się rozterce i cierpieniu (Orgon, Mizantrop, Dandin). Twórca „Snu nocy letniej" postępuje inaczej: przedmiotem śmiechu uczynił — tryumfującą młodość, piękno, radość życia, witalność, miłość. W „Śnie nocy letniej" bawimy się kosztem zwycięzców — a nie na rachunek pokonanego.

Komizm gry miłosnej nie obdziera jej w „Śnie nocy letniej" — z poetyckiego blasku. Czy można sobie wyobrazić, że pozbawieni są fizycznego czaru: Hermia i Lizander, Helena i Demetriusz, a zwłaszcza Tytania? Piękno i wdzięk łączą się nierozerwalnie z samym założeniem literackim tych postaci. Urok mieści się także w ich poetyckim języku, pełnym celnych i niezapomnianych metafor. Nie na próżno ojciec Hermii zarzuca Lizandrowi, że wierszami i śpiewem rzucił urok na dziewczynę. Jest nawet świeży wdzięk w ich zmysłowości — czujemy, jak sami boją się swej gorączki, gdy Hermia prosi ukochanego, aby zbyt blisko nie kładł się przy niej na murawie.

Zanim jeszcze zaczął się magiczny wieczór, zanim złośliwy Puk pomieszał wszystkie karty — dwie młode pary rozgrywały już ze sobą komedię nieporozumień. Demetriusz porzucił kochającą go Helenę, aby zdobyć — zakochaną w przyjacielu Hermię.

Nie cofnął się nawet przed nielojalną i ryzykowną metodą wygrywania ojcowskiego na Hermię nacisku. Już przed podniesieniem kurtyny — zaczyna się kapryśna gra. Uroki gorącej i upajającej nocy, czary Oberona i Puka, tylko przyśpieszają rozwój wydarzeń, tylko je wyjaskrawiają i zaostrzają; podobnie jak gorączka sztucznie podwyższona przez lekarza ma osiągnąć szczytowy punkt kryzysu, zanim osłabi się organizm chorego.

Komizm i urok, splecione ze sobą sekretem poezji — znajdują najpełniejszy wyraz w postaci i przeżyciach królowej elfów. Na kilka wieków przed Giraudoux wciągnął Szekspir postaci mitologiczne w igraszkę miłosnej psychologii. Jak w „Amfitrionie 38" splótł w uścisku ramiona istot z różnych światów. Tak doszedł wreszcie do sceny — jednej z najśmielszych w literaturze dramatycznej — gdy urocza Tytania w miłosnym uniesieniu pieści swą rączką długie uszy i oślą głowę biednego, zaczarowanego Spodka.

Jednym z najważniejszych bohaterów „Snu nocy letniej" jest — las. Las gęsty, ciemny, pełny tajemniczych zarośli; las, w którym można się w mgnieniu oka zagubić; las, gdzie co chwila tracą się z oczu nawet ci, co się szukają: kochankowie, rywale, przygotowujący przedstawienie rzemieślnicy. Las, który deformuje i zmienia perspektywy. Taki właśnie las, wyobrażam sobie, gdy czytam „Sen nocy letniej".

W tym lesie — żaden zakątek nie jest pusty. To nie abstrakcyjna puszcza z „Balladyny" czy z „Krwawych godów"; nawet nie gaj ardeński z „Jak wam się podoba". Słyszymy w „Śnie nocy letniej" o wężach, pająkach, żukach, ślimakach, jeżach, glistach. Człowiek jest tu bliski przyrody; tak bliski, że nie dziwi nas przeobrażenie Spodka. Elfy noszą imiona kwiatów: groszku, pajęczynki, gorczyczki. Przy pomocy roślin dzieją się czary i miłosne uroki. Żaden ze znanych mi utworów dramatycznych — nie jest tak bliski natury, tak „przyrodniczy" — jak „Sen nocy letniej".

Nawet laik pojmie, jak trudno wystawić „Sen nocy letniej". **Bronisław Dąbrowski** podjął się tego zadania z entuzjazmem, który można zrozumieć. Bogata instrumentacja poetycka „Snu nocy letniej" musiała idealnie odpowiadać reżyserowi budującemu widowiska z różnych, lecz teatralnie najściślej powiązanych czynników.

Słowo poetyckie, muzyka, strona wizualna — oto czym operuje inscenizator szekspirowskich komedyj. Krakowski teatr im. Słowackiego nie posiada sceny obrotowej, którą posługiwali się inni reżyserowie „Snu nocy letniej". Ten brak nie tylko nie zaszkodził inscenizacji Dąbrowskiego — lecz wprost przeciwnie, spotęgował wrażenie. Gdy na tle lasu wyskakuje nagle z podziemi chatka odbywających próbę rzemieślników ateńskich — muzyka gra melodię marszową, zespoloną z tą teatralną fantastyką. W ten sposób osiągnięto nie tylko jednolitość dzieła i jednolitość nastroju — ale i powiązano muzykę z wizją plastyczną, a komizm z tanecznością.

Podobnie dzieje się w innych momentach. Przebiegające scenę na czworakach fantastyczne maleńkie zjawy leśne, ropuchy, rozpościerające swe potworkowe ramiona, elfy roztańczone, ale na szczęście — bynajmniej nie „baletowe", Tytania uśpiona jak wielki barwny kwiat, Spodek wpleciony w rytm tanecznic, Puk zapełniający scenę niesamowicie zachrypniętym i przez echo zwielokrotnionym śmiechem — ileż doskonałych pomysłów (najściślej wiernych duchowi utworu) podkreśliło, uwydatniło, mądrze akcentowało urok komedii!

Myślę jednak, że nieco ponad potrzebną miarę rozrósł się w krakowskiej inscenizacji — świat rzemieślników. Można przypuszczać, że Szekspir załatwiał w „Śnie nocy letniej" mimochodem — porachunki z amatorskim niedobrym teatrem rzemieślników. Teatrem, który nie tylko stanowił groźną konkurencję dla artystów zawodowych, ale także — co było daleko gorsze — obniżał poziom repertuaru i degradował gusty publiczności. Wobec szmiry teatralnej (obojętne: amatorskiej, czy zawodowej) był Szekspir bezlitosny; wiemy o tym z „Hamleta". Otóż owa satyra, wymierzona w „Śnie nocy letniej" przeciw teatrowi najgorszemu — nie straciła do dziś swej ostrości. Nie powinna jednak, sądzę, rozrastać się poza granice nakreślone przez samego poetę. Otóż w ostatnim akcie krakowskiej „inscenizacji" „Snu" — ów wyszydzony „teatr w teatrze" tak napęczniał dodatkowymi pomysłami, iż zaczyna nużyć przybierając przy tym ton jakiegoś „abstrakcyjnego" nie związanego ze stylem szekspirowskim widowiska.

Rozumiem co prawda, że aktorów naszych cieszy i pociąga ta szansa wirtuozowskiego wygrania satyry na szmirę, która nabiera dla nich specjalnego tonu i smaku. Grają zresztą na ogół — w sposób znakomity. Na plan pierwszy wysuwa się **Fulde** nie tylko dlatego, że ma najbardziej efektowną rolę — ale także dzięki swemu żywiołowemu i bardzo szekspirowskiemu komizmowi, bogactwu środków, pomysłowości. Z kolegów jego najbardziej mi się podobali: **Opaliński i Cebulski;** najmniej: szarżujący **Kondrat.**

Ze świata rzemieślników przenieśmy się od razu — do krainy Elfów. Przywodził im **Białoszczyński,** który każdą swą rolę zaprawia dozą pięknej i zajmującej, lirycznej ironii. **Castorii** (Tytania) ładnie zagrała sceny flirtu ze Spodkiem.

W roli Puka wystąpiły dwie osoby: **Łomnicki i Kościałkowska.** Ruchliwość, złośliwość i lotność Puka tak ujęta jak w inscenizacji krakowskiej — harmonizuje najlepiej z grą Tadeusza Łomnickiego; ale i jego koleżanka umiała znaleźć trafne akcenty. Wielką radość sprawiła nam w roli Heleny **Wanda Kruszewska.** Ta zdolna aktorka umiała melodyjnie i pięknie, naturalnie i swobodnie mówić wiersz szekspirowski. Trójka jej partnerów **(Bielska, Sheybal i Jacewicz)** grała dobrze — ale z mniejszym przekonaniem. Raziła mnie — fałszywie pojęta — scena sprzeczki Heleny z Hermią zagrana naturalistycznie ze zbyt zapalczywą kłótliwością w tonie i geście.

Doskonale z godnością odtwarzali swe role **Białkowski** (Egeusz) **i Szymański** (Książę Aten).

✤

Wiadomo, że prof. **Andrzej Pronaszko** jest twórcą oryginalnej, interesującej, zdecydowanie antyrealistycznej oprawy plastycznej „Snu nocy letniej". Podkreśliłem już uroczą pomysłowość chatki rzemieślników. Mniej zachwyca mnie — las ateński. Był to gaj bardzo rzadki, w którym — doprawdy — zagubić się trudno. Cienie drzew na horyzoncie układają się jak wieże i nie mają w sobie wizyjnej leśności. Za to kostiumy są bardzo piękne — najefektowniejszy strój Tytanii.

Codziennie, od wielu tygodni, publiczność krakowska kompletami zapełnia przedstawienia „Snu nocy letniej". Przedstawienie szekspirowskie w Krakowie stało się już dumną tradycją miasta. Pociągi zwożą ludzi, przybywających specjalnie na te artystyczne zawody. Miasto Kraków, mimo swej niełatwej sytuacji finansowej, przychodzi teatrowi z wydatną pomocą. Nowy budżet — chciałbym to z radością podkreślić! — przewiduje dla teatrów bardzo znaczną subwencję. Jeśli się pamięta, że w roku ubiegłym „Wieczór trzech króli" widziało 80.000 ludzi — a myślę, że w tym roku „Sen nocy letniej" pobije rekordy — wysiłek teatru i miasta nie wyda nam się bezużyteczny.

Wojciech Natanson

Maria Gorczyńska w akcie I

W poprzednim 46 (207) numerze „Odrodzenia" z dnia 14 listopada 1948 r.: **Jan Parandowski:** Stefan Zweig. — **Stanisław Wygodzki:** Dziewczyna, Śpiew. — **Włodzimierz Majakowski** (przełożył **Jan Brzechwa**): Rozmowa z inspektorem podatkowym o poezji. — Z wystawy Jana Lenicy. — **Zofia Nałkowska** o „Węzłach życia" (rozmowę przeprowadził **Józef Słotwiński**). — **Wojciech Natanson:** Kronika czeska. — Książki: Powieść („Fundamenty" Jerzego Pytlakowskiego). — **Artur Sandauer:** Nowe wiersze Mieczysława Jastruna. — **Guy de Maupassant** (przełożył **Adolf Sowiński**): Wyznanie. — **Jerzy Ficowski:** Suita hiszpańska — **Edmund Osmańczyk:** Dwie nowe książki Tomasza Manna. — List do redakcji: **Witold Rowicki:** W sprawie sytuacji muzycznej w Polsce. — Klub „Odrodzenia" przedstawia swych autorów i dzieła, które członkowie klubu otrzymają w ciągu 1949 r. — Sztuka dla dzieci i młodzieży; **Janina Osińska:** Urok — Wrażenie — Sąd...; **Aniela Mikucka:** Funkcja książki szkolnej; Wypowiedzi dzieci o pierwszym spotkaniu z książką (opracowała **hj**); **Krystyna Kuliczkowska:** Rozśpiewana bajka; — Nowości wydawnicze dla dzieci i młodzieży. — Film: **Jerzy Płażewski:** „Przygoda na wakacjach" — film francuski; „Czapajew" — film radziecki. — **Stanisław Jerzy Lec:** Fraszki: U małp; O wymowie; Prawda; O przeznaczeniu. — Rozwój malarstwa polskiego na salonach ogólnopolskich. — Camera obscura. — 24 ilustracje. — 8 stron

ADAM BROMBERG

Odrobić zaniedbania wydawnicze

Na marginesie informacji statystycznej o produkcji wydawniczej III kwartału 1948 roku *).

Zacznijmy od cyfr. W III kwartale br. wydano 1401 książek i broszur o łącznej objętości 170278 stron (znormalizowanych). Produkcja utrzymuje się na poziomie II kwartału, nie wykazując, podobnie jak w 1947 r., sezonowego spadku produkcji. Jest to miarą tempa rozwoju wydawnictw i bardzo korzystnym objawem równomiernego (choć bynajmniej jeszcze nie planowego) rozkładu prac drukarskich na cały rok.

Spośród wydawnictw było w III kwartale 1948 r. 686 broszur (do 64 str.) i 715 książek o średniej objętości 208 stron. W porównaniu z II kwartałem zwiększa się więc ilość broszur i cieńszych dziesięcioarkuszowych książek, przy czym tendencja ta jest w bieżącym roku stała. III kwartał stoi pod znakiem zwiększenia ilości prac naukowych kosztem podręczników i prac popularno-naukowych.

	I kw.	II kw.	III kw.
prace naukowe	331	274	326
prace pop.-naukowe	298	299	264
podręczniki	283	293	211
literatura piękna i młodz.	319	248	248
dokumenty życia społecznego	234	352	352

Tłumaczeń z języków obcych ukazało się w 1948 r.:

	I kw.	II kw.	III kw.
z jęz. angielskiego	37	42	26
„ „ niemieckiego	15	24	18
„ „ rosyjskiego	20	20	23
„ „ francuskiego	12	17	20
„ „ włoskiego	5	1	3
„ „ żydowskiego	2	—	—
„ „ czeskiego	1	2	1
z innych	21	6	14
	113	112	105

W językach obcych wydano 36 książek i broszur, w tej liczbie: w jęz. angielskim — 12, w jęz. francuskim — 13, w jęz. rosyjskim — 3.

Jeśli jednak produkcja III kwartału utrzymuje się na średnim poziomie roku, to w stosunku do III kwartału ub. roku wskazuje poważny wzrost — o 20 do 25 proc. Wzrost ten jednak nie jest oczywiście równomierny. Przyjrzyjmy się poszczególnym działom:

KSIĄŻKI I BROSZURY WYDANE W III KWARTALE 1948 R.

Dział	III kw. 1947	III kw. 1948	III kw. 1947	III kw. 1948	III kw. 1947	III kw. 1948
			Objętość w		% całej produkcji	
1. Dzieła treści ogólnej	8	21	956	4184	0,7%	2,5%
2. Nauka. Kultura	9	24	930	3237	0,7%	1,9%
3. Archiwistyka. Bibliologia	—	25	—	2168	—	1,3%
4. Religia	144	70	20225	7535	15,1%	4,4%
5. Filozofia. Logika. Psychologia	18	19	3106	2234	2,4%	1,3%
6. Historia	80	58	10066	8879	7,5%	5,2%
7. Geografia	37	25	3474	1432	2,6%	0,9%
8. Antropologia. Etnologia	—	10	—	1018	—	0,6%
9. Językoznawstwo	8	10	1305	581	1 %	0,3%
10. Literatura	162	171	25864	34702	19,2%	20,4%
11. Nauka o Literaturze	20	26	2218	2791	1,6%	1,6%
12. Muzyka. Teatr. Kino	35	10	700	1373	0,5%	0,9%
13. Sztuki plastyczne. Architektura	19	23	443	1785	0,3%	1,1%
14. Prawo. Administracja	45	42	6152	7709	4,6%	4,5%
15. Publicystyka. Polityka	37	25	1987	2031	1,5%	1,1%
16. Ekonomika	23	37	2365	5790	1,8%	3,4%
17. Nauki i Zagadnienia Społeczne	43	82	2688	6698	2 %	3,9%
18. Oświata i wychowanie	45	49	3382	3612	2,4%	2,1%
19. Wychowanie fizyczne. Sport. Gry	18	25	1604	963	1 2%	0,6%
20. Matematyka	6	13	714	2464	0,5%	1,5%
21. Nauki przyrodnicze	52	79	6132	8979	4.5%	5,3%
22. Nauki lekarskie	43	103	5700	6854	4,2%	4 %
23. Technika	50	54	6409	7613	4,8%	4.5%
24. Wojskowość	4	9	364	405	0,3%	0,2%
25. Przemysł. Rzemiosło. Handel. Transport	78	131	7220	12629	5,2%	7,4%
26. Gospodarstwo wiejskie	45	73	3499	7908	2,6%	4,6%
27. Podręczniki szkolne	73	120	11288	18748	8,4%	11 %
28. Wydawnictwa dla dzieci i młodzieży	89	59	5910	5956	4.4%	3 5%
	1191	1401	134701	170278	100 %	100 %

Jak wynika z powyższej tabeli absolutny i względny wzrost rejestrujemy w dziale książek o treści ogólnej (zapowiedź jesiennej inflacji kalendarzowej), w książkach naukowych, w dziale muzyki (Państwowe Wyd. Muzyczne), w dziale nauk społecznych, technicznych i podręczników szkolnych. Wyraźny jest spadek ilości tytułów i objętości książek religijnych, chociaż ilość 144 książek o pokaźnej objętości 7535 stron jest 1,5 — 2 razy większa od przedwojennej średniej kwartalnej.

Ogólne tendencje rozwojowe prześledzić można na procentowym zestawieniu tytułów w latach powojennych.

KSIĄŻKI I BROSZURY

wydane w III kwartale 1948 r.

w zestawieniu z r. 1946 i 1947 wg ilości tytułów.

Dział	Ilość tytułów danego działu w procentach ilości tytułów całej produkcji wydawniczej w okresie: 1946 r.	1947 r.	1948 r. I kw.	1948 r. II kw.	1948 r. III kw.
0. Książki treści ogólnej	5,2%	1,6%	1,6%	0 6%	1,5%
1. Filozofia	1.3%	0.8%	1,5%	1,3%	1,4%
2. Religia, teologia	7,2%	10,8%	8,6%	7,9%	5 %
3. Nauki społeczne, prawne, publicystyka	21.7%	10,8%	11,1%	12.9%	10,7%
4. Językoznawstwo	0,8%	0.5%	0.7%	0,8%	0,7%
5. Nauki ścisłe	2.5%	10,3%	6,3%	8,6%	7,7%
6. Nauki stosowane	14 %	27,2%	32.1%	33.1%	37.4%
7. Sztuki piękne, gry, sporty	5 %	2 %	2,8%	5,6%	4,7%
8. Literatura piękna	18 3%	12,8%	12.5%	12.1%	12 2%
Książki dla dzieci i młodz.	10 %	15,1%	9,4%	4 %	4,2%
9. Historia. Geografia	10 %	1,8%	7,1%	6 5%	5 9%
Podręczniki szkolne	4 %	6 3%	6,3%	6,6%	8.6%
		100 %	100 %	100 %	100 %

Nie obawiając się zbyt pośpiesznych uogólnień stwierdzić można, że, mimo stałego wzrostu produkcji w dziedzinie tzw. nauk stosowanych, o wiele za mało wydajemy książek z dziedziny techniki i rolnictwa. Wystarczy wskazać na przykład Związku Radzieckiego, gdzie w 1947 r. książki z zakresu rolnictwa stanowiły około 20 proc., a książki techniczne ponad 30% olbrzymiej produkcji wydawniczej! Tak jest w kraju, który ma za sobą dziesięciolecia systematycznego grupowania księgozbiorów przedwojennych. Przy ubóstwie naszej literatury w tej dziedzinie — musi powstać jakaś korelacja pomiędzy zamierzeniami gospodarczymi — planem uprzemysłowienia, wprowadzaniem co roku setek tysięcy nowych robotników, techników do przemysłu, unowocześnianiem i mechanizacją rolnictwa — i planem wydawniczym, który tym nowym kadrom da nie tylko podręcznik i przystępną literaturę popularyzatorską, ale także książkę naukową. Braki są w tej dziedzinie zatrważające. Zaspokojenie elementarnych potrzeb możliwe jest tylko przy planowym i skoordynowanym wysiłku wydawnictw przede wszystkim przez szeroko zakrojoną akcję tłumaczeń, przyswajanie naszej literaturze naukowej i popularnej literatury technicznej i rolniczej zagranicznej, w szczególności bogatej i przodującej również w tej dziedzinie literatury radzieckiej. Warto tu zaznaczyć, że w ciągu 9 miesięcy 1948 r. przekłady radzieckich książek rolniczych i technicznych policzyć można na palcach jednej ręki!

Niepokojący jest również brak literatury dla dzieci i młodzieży. Klucza do tego zagadnienia i dróg mobilizacji wydawców do nowych zadań poszukamy w przemianach rynku wydawniczego, w postępującym konsekwentnie z kwartału na kwartał uspołecznieniu wydawnictw.

Wydawcy książek i broszur

Wydawca:	Objętość wydawanych książek stron 1948 I kw.	II kw.	III kw.	w %% ogólnej produkcji 1948 I kw.	II kw.	III kw.	Ilość tytułów 1948 I kw.	II kw.	III kw.	Ilość tytułów w %% ogólnej produkcji: 1946 — 1947	1948 I kw.	1948 III kw.	III kw.
1. Spółdzielnie wydawnicze	41633	45784	43921	24,8%	26,6%	25,8%	279	312	279	17 %	17,4%	20,5%	21,3% 19.8%
w tej liczbie „Czytelnik“	10217	12399	13000	6,1%	7,2%	7,6%	79	93	74	3,6%	3,9%	5,8%	6,3% 5 3%
„Książka“	8812	11837	9873	5,2%	6,9%	5,8%	45	70	49	5,2%	3,6%	3 3%	4.8% 3 5%
„Wiedza“	69111	5730	7044	4,1%	3,3%	4,2%	38	26	35	2 %	2 %	2,8%	1,8% 2,3%
2. Inst. wyd. państwowe	42643	47428	55596	25,3%	27,6%	32,7%	425	451	503	21,9%	24,6%	31,5%	30,8% 36 2%
3. Org. Społeczne Zw. Stow. (prócz rel.)	21672	24283	24888	12,9%	14,1%	14,6%	227	323	282	11,2%	13,9%	16,7%	22 % 20.1%
3a. Stow. i org. religijne	10463	12534	10080	6,2%	8,3%	5,9%	94	120	89	6,4%	9,2%	7 %	8,2% 6,4%
4. Firmy prywatne i anonimowe	51871	41902	35793	30 8%	24,4%	21%	333	260	245	43,5%	34,9%	24,5%	17,7% 17,5%
	168332	171931	170278	100 %	100 %	100 %	1358	1466	1401	100 %	100 %	100 %	100 % 100 %

W zestawieniu tym dwie grupy wydawców mają wyraźną tendencję: stały rozrost wydawnictw państwowych zarówno w cyfrach absolutnych, jak i w stosunku procentowym i stały spadek produkcji firm prywatnych, które od początku roku 1948 zmniejszają z kwartału na kwartał ilość wyprodukowanych książek. (W latach ubiegłych przy zmniejszaniu się procentowego ich udziału wydawcy prywatni utrzymywali swój poziom produkcji).

Nasuwa się więc przypuszczenie, że miejsce wydawcy prywatnego zajmują wydawnictwa państwowe, których rosnąca produkcja jest decydującym elementem ogólnego powiększenia się ilości książek i broszur. Przemiany te nie są jednak tak proste — kurczenie się produkcji wydawców prywatnych dotyczy właśnie tych dziedzin, w których działalność wydawców państwowych jest najmniejsza.

Trzeba sobie przede wszystkim powiedzieć, że o ile większość produkcji spółdzielczej grupuje się w kilku czołowych instytucjach decydujących o rozmiarach planu spółdzielczego i jego kierunku rozwoju, to wśród wydawnictw państwowych panuje jeszcze daleko posunięte rozdrobnienie i wielokierunkowość działania, która, chociaż to brzmi paradoksalnie, utrzymuje w tym — jakby się zdawało najłatwiejszym do ujęcia w karby planu — sektorze, absolutny chaos i bezplanowość.

Najważniejszą instytucją wydawniczą państwową są: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych (63 książki w III kwartale); wydawnictwa wojskowe wydały 36 książek i broszur, Państwowy Instytut Wydawnictw Rolniczych już tylko 14, a Państwowy Instytut Wydawniczy — aż 6. Razem te cztery wydawnictwa mają udział w produkcji państwowej sięgający 20%. Resztę, 70 — 80 % produkcji daje ponad 100 instytutów naukowych, uniwersytetów i wreszcie — urzędów i ministerstw. Ministerstwo Przemysłu i Handlu w różnych swoich departamentach i centralach przemysłowych wydało 61 książek, uniwersytety — 71, ministerstwa (prócz MPiH) — około 100 książek itd.

Nie można oczywiście wyciągnąć daleko idących wniosków z zestawień jednego kwartału, ale wymowny jest niewątpliwie fakt, że w tym okresie wydawnictwa państwowe nie wydały ani jednej książki dla dzieci i młodzieży, w dziedzinie beletrystyki reprezentują zaledwie około 8% (17 książek); stosunkowo duży udział w dziale techniki (30 tytułów, 52%) jest jednak w stosunku do potrzeb nikły. Nawet w dziedzinie podręczników szkolnych udział Państwowych Zakładów jest niewystarczający — 49% objętości.

W ten sposób spadek produkcji u wydawców prywatnych, który dotyczy w pierwszym rzędzie książki dziecinnej i beletrystyki, rekompensowany jest wprawdzie przez rosnącą produkcję wydawnictw państwowych, ale w innych dziedzinach. Działalność wydawnicza państwowa jest wciąż jeszcze rozdrobiona i niekontrolowana, o wielokanałowych źródłach finansowych, prowadzona jest z wąsko pojętej perspektywy własnych aspiracji i potrzeb. Nie ma żadnych wątpliwości, że ten stan rzeczy musi ulec zmianie. Porządkowanie rynku wydawniczego zacznie się od sektora państwowego, wydającego już dziś prawie 40% książek i broszur. Jeśli jednak produkcja wydawnictw państwowych ma w przyszłym roku wzrosnąć przynajmniej o 50% i objąć nie tylko zwiększone działy techniki, rolnictwa, ale przede wszystkim książki naukowe wszystkich dziedzin i książkę biblioteczną — literaturę piękną, książki dla dzieci i młodzieży, jeśli wydawnictwa państwowe wespół ze spółdzielczymi i społecznymi mają utrzymać i podnieść poziom produkcji wydawniczej w Polsce — poziom ilościowy i jakościowy — to muszą one największym wysiłkiem finansowym i organizacyjnym przełamać wszelkie trudności biurokratyczne i śmiało realizować plan wydawniczy, przystosowany do rosnących potrzeb naszego pokolenia. Trzeba skończyć z rozsiadłymi we wszystkich wydziałach „samodzielnymi“ komórkami wydawniczymi, które uszczęśliwiają nas 1 — 2 broszurami rocznie, przekazywanymi do sprzedaży wydawcom prywatnym „na skład główny“. Komasacja funduszów, praca wydawnicza prowadzona przez skomercjalizowane fachowe instytuty wydawnicze, zwłaszcza przez potężne wydawnictwa techniczne i rolnicze, subwencjonowane ośrodki wydawnicze naukowe typu Kasy Mianowskiego — wszystko to ujęte w jedną centralę wydawnictw państwowych, a później państwowo - spółdzielczych zapewni właściwą gospodarkę tymi miliardami, które państwo wydaje rocznie na ten cel. Tylko taka organizacja zapewni jednolitą, przemyślaną politykę cen, marż zarobkowych, właściwe rozwiązanie kolportażu i plan uwzględniający wszystkie potrzeby, unikający dublowania wysiłków.

Zarysowują się kontury ramowego państwowego planu wydawniczego na rok 1949, postulujące w dziedzinie „nauk stosowanych“ wzrost produkcji o 100 proc., w dziedzinie książki bibliotecznej — o 50%, w innych dziedzinach o 20 — 30%. Czołowe wydawnictwa spółdzielcze podejmują próbę podniesienia swojej produkcji o 50—100%. Sens swojego istnienia muszą wydawcy państwowi uzasadnić w r. 1948 wzrostem globalnej produkcji przynajmniej o 50%. Tradycje naszego przemysłu państwowego, łatwość mobilizacji środków w wypadkach uznanych za szczególnie ważne — gwarantują wykonanie tego zadania.

Chodzi tylko o drobiazg — o uznanie konieczności uporządkowania rynku wydawniczego, podniesienia i uspołecznienia produkcji za „wypadek szczególnie ważny“.

Adam Bromberg

*) Na podstawie Urzędowego Wykazu Druków. Przybliżone zestawienia statystyczne sporządzone przez autora.

Z SALONÓW

Rewelacje piśmiennictwa „wojennego”

(Dokończenie ze strony trzeciej)

ła, aby wzruszyć moją duszę, twoją, dziecka urodzonego w zacnej familii, kobiety, która czuje; ośmielam się powiedzieć, że nie ma smaku. Spośród nieskończoności dowodów, które mogę wyłożyć, jeden wystarczy: oto idę w zakład, że wśród tłumu postaci kobiecych i męskich, które namalował, nie znajdziesz czterech, których charakter odpowiadałby płaskorzeźbie, a jeszcze mniej rzeźbie. Mają zbyt wiele min, minek, maniery, efektacji dla tej surowej sztuki. Na próżno pokazuje mi je nagie, widzę je zawsze urożowane, w muszkach, frędzelkach i wszystkich faramuszkach toalety. Czy sądzisz, że kiedykolwiek postało w jego głowie coś z tego zacnego i czarującego obrazu Petrarki:

E'l riso, e'l canto, e'l parlar dolce, humano?

Dalibóg, nie wie on, czym są owe subtelne i cienkie analogie, które na płótnie wywołują przedmioty i wiążą je niewidzialnymi nićmi. Wszystkie jego kompozycje wywołują w oczach nieznośny harmider. Jest on najbardziej zabójczym przeciwnikiem ciszy, jakiego znam, cały oddany ślicznym marionetkom świata, skończy on na kolorowaniu rycin. I cóż, mój przyjacielu, oto w chwili, kiedy Boucher przestał być artystą, został mianowany pierwszym malarzem króla. Niech ci się nie wydaje, że jest on w swoim rodzaju tym, czym Crebillon-syn w swoim. Obyczaje są niemal te same, ale literat ma inny talent niż malarz. Jedyną jego przewagą nad tamtym jest niewyczerpana płodność, niewiarygodna łatwość, zwłaszcza w akcesoriach jego pastorałek. Kiedy maluje dzieci, układa je w piękne pozy; ale niech lepiej baraszkują na obłokach! W tej całej nieprzeliczonej rodzinie, nie znajdziesz jednego, który by oddawał się jakimś prawdziwym zajęciom: uczył się, czytał, pisał, prządł na kołowrotku. Są to natury romantyczne, idealne; mali bastardzi Bachusa i Sylena. Dzieci te przydałyby się rzeźbie najwyżej na przyozdobienie antycznej wazy. Są tłuściutkie, pyzate, pulchne. Czy artysta potrafi kształtować marmur, zobaczymy. Jednym słowem, weź wszystkie obrazy tego człowieka, a zaledwie znajdziesz jeden, do którego nie mógłbyś powiedzieć jak Fontenelle do sonaty: „Sonato, czego chcesz ode mnie?“ „Obrazie, czego chcesz ode mnie?“ Czyż kiedyś nie ogarnął go szał malowania Madonn? I cóż? Czymże były jego Madonny — licznymi szczebiotkami. A jego aniołki? Małymi rozpustnymi satyrami. Do tego jest w jego obrazach szarość koloru i jednolitość tonu, która sprawia, że z odległości dwóch stóp obraz jego bierzesz za kawałek gazonu lub zagon pietruszki pocięty na kwadraty. To nie jest jednak głupiec. Jest to fałszywy dobry malarz, tak jak można być fałszywym myślicielem. W jego sztuce nie ma myśli, jest tylko concetti.

(Salon roku 1765)

Denis Diderot

przełożył **Jan Kott**

(Dokończenie ze strony piątej)

wym swoim rytmie, powolnego wytwarzania oliwek. Stały się żywe. Nabrały sensu.

Odkryłem, że jestem „chory“. Nie przyznałem sobie prawa, by się uchylić od tej choroby. To wszystko. Dzisiaj jestem głęboko smutny. Jestem smutny za moje pokolenie, pozbawione jakiejkolwiek tematyki ludzkiej. Pokolenie, które znało bar, matematykę i Bugattich jako formę życia duchowego, które do wojny przystąpiło ze słowami, powtarzanymi przez kolegów amerykańskich: „Podejmujemy się uczciwie tego niewdzięcznego zadania“. Nienawidzę mej epoki z całego serca. Człowiek w niej umiera z pragnienia.

Pewnie mamy i my swoje powody walki. Trudno mi znieść myśli, że nowe pokolenie dzieci francuskich mogłoby zniknąć w brzuchu Molocha niemieckiego. Ale, gdy się uratujemy od tej groźby, zjawi się problem bardziej zasadniczy: zagadnienie naszego czasu. Zagadnienie sensu istnienia — a ponieważ odpowiedzi nie ma, sądzę, że zbliżamy się ku najczarniejszej epoce historii.

Tak, cierpienia tych ludzi są z gatunku bólu zębów. Innych nawet nie znają. Dokąd idzie Ameryka i my z nią w tym okresie powszechnego automatyzmu?

Podczas gdy piszę te słowa, dwaj młodzi towarzysze śpią obok. I ja będę się musiał położyć, mam wrażenie, że światło im przeszkadza. Są wspaniali, w swoim rodzaju: szlachetni, uczciwi, wierni żołnierze. Ale patrząc na ich sen odczuwam coś w rodzaju bezsilnej litości. Szlachetni uczciwi, wierni — tak, ale jednocześnie straszliwie ubodzy. Dobrze, że śpią, — nie czują niepokoju, który mnie dręczy“.

Ten głos wybitnego pisarza i moralisty, odtwarzający uczucia żołnierza europejskiego i amerykańskiego, daje w pełni odczuć różnicę problematyki dwóch frontów: zachodniego gdzie walczyło się „z bólu zębów“, i wschodniego, gdzie starły się dwie koncepcje uporządkowania świata, gdzie żaden z uczestników wojny nie miał, nie chciał mieć, i nie mógł mieć — wątpliwości o charakterze prywatno-moralnym.

Zygmunt Kałużyński

Do Biblioteki Narodowej coraz częściej zwracają się zza granicy o rozmaite informacje. Ostatnio w związku z przygotowywaniem międzynarodowej bibliografii Tomasza Manna proszono nas o zestawienie bibliografii wydanych w Polsce dzieł i artykułów Manna oraz literatury o nim. Jednocześnie wpłynęło zapytanie, czy zajmuje się ktoś w Polsce naukowo twórczością Manna. Uprzejmie prosimy osoby zainteresowane tą sprawą o porozumienie się z Biblioteką Narodową (Biuro Informacji).

Nowość nowość

JAN DOBRACZYŃSKI

W ROZWALONYM DOMU

objętość 264 str. — cena 580.— zł

Poleca

KSIĘGARNIA

ZDZISŁAW GUSTOWSKI

POZNAŃ, ul. WIELKA 10

Do nabycia we wszystkich księgarniach

PLOTKARZE

Bajka z Lafontena
(przekład F. S. Dmochowskiego)

rys. Jan Lenica

Paweł szewc, babskim plotkarstwem znudzony,
Rzekł do żony:
„Nie wiem, czy to prawda, czyli mi się zdaje,
Patrzaj, żono: zniosłem jaje.
Lecz zaklinam cię na Boga,
Moja połowico droga,
Nie wynoś-że tego z domu,
Gdyżbym się nie mógł pokazać nikomu".
Pani majstrowa, przypadek to zadki,
Do swej najbliższej biegnie więc sąsiadki,
A że w opowiadaniu wszystko się potraja,
Z jednego robi trzy jaja.
Sąsiadka, która także nic milczeć nie umie,
Wszystko to pod sekretem powiedziała kumie,
Dodając, że w tym razie, tak sprzecznym naturze,
Nie mogły być jaja kurze,
Lecz, co także stwierdzili zdumieni słuchacze,
Musiały to być gęsie a przynajmniej kacze.
Za godzinę wieść poszła po jatkach rzeźniczych
O sześciu jajach gęsich i ośmiu indyczych.
Z targowiska do domu wracające chłopy
Zrobiły z tego dwie kopy.
Im się dalej wieść rozniosła,
Ciągle jak na drożdżach rosła,
Aż pewna stara panna, już jedna z ostatnich,
Przysięgała, że szewc zniósł trzysta kul armatnich,
Z czego wniosła niespokojna,
Że w tym roku będzie wojna.

Podał do druku Julian Tuwim

Korespondencja

„Tu by nawet niedźwiedziowi wyrosły skrzydełka"

Do Redaktora „Odrodzenia"

W numerze 45 (85) „Nowin literackich" ukazał się przekład utworu Włodzimierza Majakowskiego pt. „List z Paryża do towarzysza Kostrowa o istocie miłości" pióra Jana Kotta.

Pomijając usterki językowe, jak np.:

Wybaczcie mi, towarzyszu Kostrow, z wielkoduszności waszą

zamiast „z właściwą wam wielkodusznością" (po rosyjsku: z waszej sobstwiennoj szyr'ju); lub „w sobie, dopóki w piersiach będzie biło, czając się jak na schadzce pod wieczór, nasłuchuję" etc., gdzie brak po prostu podmiotu: co będzie biło?; pomijając rusycyzmy typu „towarzyszko, w wyższej mierze pluję na kopuły wzniosłe" (po polsku mówi się: „pluję na coś z wysoka"); pomijając wreszcie niedbalstwo rymów, jak np. „nici — „wyjaśnić ci" lub „Mierzyć — mierze", znajdujemy w tym przekładzie szereg nieścisłości. Tak np. strofa:

Sen
z idei i wizji
nowych
niemal z nadmiaru pęka,

niezrozumiała i niepoprawna w przekładzie, odzyskuje dopiero sens, jeśli sięgnąć do oryginału „Sonm widienij i idiej połon do kryszki" (rój idej i wizyj pełen jest aż po brzegi); tłumacz pomieszał — widać — ze względu na podobieństwo dźwiękowe „sonm" (rój) z „son" (sen).

W strofie:

Kochać —
to z prześcieradeł bezsenności
rwanych
biec, by się zmierzyć
z Kopernikiem,

jego, a nie męża

Marii Joanny

nazywać

swym współzawodnikiem

owa „Maria Joanna" jest pomysłem tłumacza. „Maria Iwanowna, czyli — jak pisze Majakowski w swej skrótowej, futuryzującej ortografii „Maria Iwanna", to po prostu Maria, córka Iwana (dwa najczęstsze rosyjskie imiona) i oznacza „jakąś tam dziewczynę": my byśmy rzekli „panią Iks".

W strofie, gdzie Majakowski daje obraz swego wnętrza:

Woda,
ogień,
huragan
wzbierają z pomrukiem.
Kto
potrafi współwładać?
Umiecie?
Spróbujcie...

tłumacz dał się skusić przedrostkowi „so" w słowie „Sowładat'" i przetłumaczył je jako „współwładać". Słowo to jednak nie znaczy „współwładać", lecz „opanować". Majakowski wzywa po prostu swą rozmówczynię, aby spróbowała go okiełznać.

Dziwne są wreszcie pojęcia tłumacza o anatomii ciała ludzkiego. W strofie:

Miłość
nie w tym,
żeby kipieć gorącej,
nie w tym, że przypala węglami,
lecz w tym, co wstaje za górami
piersi
ponad
włosami—dżunglami.

serce znajduje się nagle — wbrew wyraźnemu zamiarowi autora, który umieścił je „za włosami — dżunglami", gdzieś w okolicy gardła, albo w ogóle poza obrębem ciała autora.

Artur Sandauer

Czy Szopen ma eksmitować Krasińskiego?

Do Redaktora „Odrodzenia"

W Nr 44 „Odrodzenia" ukazał się artykuł, zatytułowany „Nareszcie szczęśliwa inicjatywa".

O ile mi się zdaje, pomysł utworzenia Dzielnicy Szopenowskiej jest już zdecydowany w sensie pozytywnym, przy czym dzielnica ta ma być utworzona na miejscu dawnego Konserwatorium Muzycznego i jego najbliższych okolic przy ulicy Ordynackiej.

W artykule wspomnianym mowa jest o utworzeniu tej dzielnicy na miejscu dawnego pałacu Krasińskich.

Uważam, że słuszna i szczęśliwa jest myśl zachowania dawnego mieszkania Szopena, natomiast, że nie jest to właściwe miejsce na Dzielnicę Szopena.

Trzeba pamiętać, że w pałacu tym mieszkał przez wiele lat inny jeszcze Polak, zajmujący poważne miejsce w hierarchii naszych wielkości narodowych. Jest on z tym gmachem związany znacznie ściślejszymi więzami. Mówię tu oczywiście o Zygmuncie Krasińskim.

Rozumiem, że w czasach dzisiejszych konserwatywne poglądy Krasińskiego są wprost dla ogółu niesympatyczne, ale to jeszcze nie powód, aby go wykreślić z pamięci. Nikt nie ośmieli się odmówić piękności i wielkości najcelniejszym jego utworom, ani nie uznać jego znaczenia w historii rozwoju psychiki polskiej. Sądy jego o współczesnych artystach i literatach dotychczas uderzają swoją trafnością — wytrzymują więc próbę czasu. Znana jest także jego hojna i delikatna pomoc udzielana wszystkim artystom.

Zresztą wydaje mi się, że Krasiński nie potrzebuje apologii.

A Szopen ma prawo do dzielnicy własnej, w której będzie królował niepodzielnie.

Czytelnik

Wyjaśnienie

Do Redaktora „Odrodzenia"

W 44 (203) numerze „Odrodzenia" ukazał się przełożony przeze mnie wiersz poety leningradzkiego Wsiewołoda Rożdiestwienskiego pt. „Szopen". Ponieważ przy wierszu opuszczono dedykację wyjaśniam, że został on przez autora ofiarowany w rękopisie i dedykowany poecie polskiemu — Jerzemu Pomianowskiemu. Nie był dotychczas nigdzie publikowany.

Stanisław Ziembicki

Film • Film • Film • Film

„ZAKAZANE PIOSENKI"

(wersja druga)

Wydarzenie w dotychczasowej praktyce filmowej bez precedensu. Nakręcono obraz pełnometrażowy, wyświetlono go publicznie w całym kraju, obraz został skrytykowany i — stosownie do zarzutów mu stawianych — poprawiony.

Pierwszej wersji „Zakazanych piosenek" nie widziałem, druga była więc dla mnie zupełnie nowym filmem, nad którym nie unosiło się żadne wspomnienie o blaskach i cieniach poprzedniej realizacji.

Oglądane w tej sytuacji „Piosenki" okazały się filmem wcale nie najgorszym. Wystarczy popatrzeć na milowe ogonki przed „Atlantykiem", a potem na sali wsłuchać się w szepty na widowni. Ci ludzie wiedzą z góry, że w starym futerale skrzypiec Kurnakowicz znajdzie rozpylacz Duszyńskiego. Mimo to chłoną treść z otwartymi ustami. Kiedy zaś Szaflarska dowiaduje się o stracie narzeczonego, większość dam wyciąga chusteczki. Przyznaję, że szereg scen może szczerze wzruszyć.

Tym gorzej, że coś w tym wszystkim nie wychodzi. I że to nieuchwytne „coś" sabotuje rzetelne wysiłki realizatorów od pierwszej sceny filmu. Konsekwentnie.

Dawno temu, gdy w powszechnym jeszcze obiegu było słowo „kinofikacja", postanowił Film Polski wyzyskać temat piosenki konspiracyjnej do żywej krótkometrażówki. Temat się rozrastał, pęczniał, osiągnął już rozmiary średniego metrażu, gdy coraz donośniej rozlegać się poczęły wołania o normalny film długometrażowy. Ot i zdecydowano pewnego pięknego dnia, że pierwszym normalnym filmem nie będzie „Robinson warszawski", „Od 9-tej do 11-tej", ani „Jutro premiera", tylko właśnie „Zakazane piosenki".

W takich warunkach napisanie dobrego scenariusza mogło nastąpić jedynie cudem. Nie miejmy pretensji do Ludwika Starskiego, że cudu nie sprawił.

Taki jest właśnie grzech pierworodny filmu: banalny tuzinkowy scenariusz. Scenariusz, który z jednej strony para się z niełatwym zadaniem pospinania ze sobą szeregu obrazków, wdzięcznie naśpiewanych przez rożnego pokroju śpiewaków, z drugiej strony usiłuje stworzyć coś w rodzaju „epopei", syntetycznie ilustrującej wszystko, co się w te pamiętne lata działo.

Czego tam nie ma: organizacja podziemna, przechowywanie broni, odważna łączniczka, ukrywający się Żyd, wyrok na volksdeutschkę, morderstwo na ulicy, rewizja, nielegalna audycja radiowa, szmugiel, riksze, policja granatowa, partyzantka, wysadzenie pociągu, biwak w lesie, powstanie, Pruszków, I Armia, Berlin i Bóg wie nie co jeszcze. A wszystko to ma być jedynie dodatkiem do tytułowych „piosenek".

W takich ramach każdy temat ledwie został naszkicowany. Gdy się już niemal czuje, że z takiej, czy innej sytuacji rzeczywiście można by coś wydobyć — trrrach! Już kręcimy całkiem coś innego.

Aktorzy robią co mogą, ale nie ma w tym wszystkim jednej ludzkiej roli (wyjąwszy może tchórza-Kurnakowicza). Duszyńskiemu np. każą grać nad grobem świeżo pochowanego przyjaciela — rzecz dzieje się przecie w partyzantce! — na ustnej harmonijce.

Montaż trzyma się niewolniczo chronologii. Natomiast wyraźnie słaby w porównaniu z każdą produkcją zagraniczną jest dialog.

Z tym jest bardzo źle! Dlaczego bohaterowie filmu nie mogą po prostu mówić, muszą tylko zawsze przemawiać? Brak inteligentnych, żywych point w dialogach jest wystarczająco nieprzyjemny. Cóż dopiero mówić o nieznośnej afektacji w każdym calu... taśmy?

Wracając jeszcze do grzechu pierworodnego: gdyby scenariusz z prawdziwego zdarzenia wybrał z tła historycznego jeden prawdziwy, ludzki dramat, a nie był epopeją ilustrującą całe pięć lat naszej historii, film byłby bardziej ludzki i wiarygodny. I dialog by wyszedł, i piosenki by się zmieściły, i koturny można by było wyrzucić na śmietnik.

I wtedy byłyby dobre nie oderwane sceny, lecz całość.

Jerzy Płażewski

Danuta Szaflarska — bohaterka filmu „Zakazane piosenki".

»CZYTELNIK«

SPÓŁDZIELNIA WYDAWN.-OŚWIATOWA

OSTATNIE NOWOŚCI

ANTONI GOŁUBIEW
BOLESŁAW CHROBRY
Powieść
Wyd. 2
PUSZCZA
Str. 425
zł 660
SZŁO NOWE
Str 597
zł 900

MICHAŁ SZOŁOCHOW
CICHY DON
Powieść
Tłum. Rogowicz W., Stawar A.
Tom I, wyd. 2
3 części
zł 720

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Gawdzik Witold, Lublin, Drewniana 5, m. 3, za nadesłanie „Rewelacyjnego Zbioru Piosenek" Wydawnictwa Ludwika Lidke, Łódź, ul. Wojska Polskiego 5.

Familia Lidke

Leży przed nami wydawnictwo „Najaktualniejszy Zbiór Piosenek", wychodzące seriami w nakładzie po 20.000 egzemplarzy — seria. Z piątej serii wybieramy dwie „piosenki" pióra Jana Lidke.

Śliczna dziewuszki

Pan mówi, że ja żyję
Kto mówi ,że ja żyję?
Czy ja się trzymam życia —
Czy życie trzyma mnie?
I na cóż mi to życie
I po cóż mi to życie
Mnie życie denerwuje
A jednak żyć się chce.

Refr. Są przecież takie śliczne dziewuszki
A ja naturę taką w sobie mam
Że gdy zobaczę takie śliczne nóżki
To zaraz całe życie dam
Bo te blondynki mają skromne minki
A te brunetki to takie kokietki
Że do nich trzeba rzeczy dwie
Szczęścia i forsę!

Pan mówi, że mam żonę
Kto mówi, że mam żonę?
Czy mnie potrzebna żona
Czy jej potrzebny mąż?
I na cóż mi ta żona
I po cóż mi ta żona
Ja mogę nie mieć żony
I być żonatym wciąż.
Refr. Są przecież takie śliczne dziewuszki itd.

Pan mówi, że mam forsę
Kto mówi, że mam forsę?
Czy ja się trzymam forsy —
Czy forsa trzyma mnie?
Wydała się ta forsa
Spłókała się ta forsa
A pan się dzisiaj pyta
Gdzie jest gotówka ta?
Refr. Są przecież takie śliczne dziewuszki itd.

obok piosenka tegoż autora:

Obozy koncentracyjne

(Na melodie Rozlało się morze).
Słowa: Jana Lidke

Obozy, obozy to kaźnie i głód,
To miejsce straszliwej tortury
To miejsce sadyzmu i okrutnych mąk
Kto dostał się zbirom do rąk.

Komory gazowe, cyklony i strzał
To szczyt niemieckiej kultury —
Na punkcie moderstwa ogarnął ich szał.

Obozy wchłaniały miliony i wciąż
Bez końca, wciąż nowych zwożono,
W obozie SS-man kres życia ich kładł

Niemiecki sadystyczny kat.

Oświęcim, Buchenwald, Majdanek, Stutthof,
Mathausen, Gross-Rosen i Gusen
Treblinka, Sobibór, Dachau, Birkenau,
To z trupów ciągnący się wał.

„Kwiaty „Oświęcimia" to dzieci na wiór,
Celowo głodem zasuszone,
Później zabijane główkami o mur...

Dosyć. — Na ostatniej stronie plugawych serii familii Lidke czytamy:

Przedruk wzbroniony.

Wszelkie prawa zastrzeżone w Związku Autorów, Kompozytorów i Wydawców „Zaiks".

P. P. Z. G. — Oddz. w Pile. 20.000, zam. 80, III. 48 K. - 44628.

Należy wyjaśnić, kto zezwolił na druk niniejszych serii, kto oddał państwową drukarnię i papier na ten cel i kto wprowadził familię Lidke do rodziny polskich Autorów, Kompozytorów i Wydawców?

Kto zezwolił, wreszcie, panu Ludwikowi Lidke umieścić wśród cynicznych „piosenek" swego krewniaka Jana Lidke piosenkę Leona Pasternaka „Oka"?

Posła Niedziałka chwała i koniec

czyli

Tragedia w wycinkach z dwóch numerów „Głosu Pomorza"

Wycinek pierwszy:

Każdy początek jest trudny, zwłaszcza gdy się chce stworzyć placówkę, która ma być dobrodziejstwem dla szerokich warstw. Toteż z wielkim uznaniem należy się odnieść do pionierów Powiatowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Samopomoc Chłopska" w Grudziądzu z posłem tow. Niedziałkiem na czele, który mimo niesamowitych wprost trudności potrafił stworzyć placówkę mogącą dziś być wzorem dla wielu przedsiębiorstw gospodarczych w Polsce.

Pierwsze kroki spółdzielni były nadzwyczaj trudne. Przez umiejętne jednak, rzeczowe, pogodne, uczciwe i solidne podejście do społeczeństwa udało się spółdzielni zyskać zaufanie i ogólny szacunek.

Wycinek drugi, po pewnym czasie:

Jasne, że aresztowanie za nadużycia prezesa Niedziałka, kierownika Karowa i innych urzędników, musiało wywołać pewną konsternację. Ujęcie rozległej gospodarki przez nowych ludzi nie mogło się obyć bez pewnych trudności, spowodowanych zła gospodarką. Trudności te opanowano jednak w stosunkowo krótkim czasie.

Może właśnie wykrycie niedociągnięć i nadużyć, a w konsekwencji usunięcie winnych, przyczyniło się do oczyszczenia atmosfery i nie wywarło ujemnego wpływu na odbiorców i dostawców. Jednym z dowodów tego to fakt, że plan zakupu ziemniaków wykonano w 100 proc. przed upływem terminu.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło... Fakt, że nasi milusińscy z „Głosu Pomorza" zawsze w tym samym humorku... byle wypełnić na 100 proc. normę „patosku"

❖

P. S.

Od Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego otrzymaliśmy list następującej treści:

„Kochani!

Zwracam uwagę, że do ruchu ki „Camera Obscura" — w pozycji pt. „Brzostowski i Chopin..." wkradł się błąd: rok 1849 będzie stuleciem śmierci a nie urodzin Szopena. Uległście sugestii tytułu wypocin Brzostowskiego.

Pozdrowienia
St. R. Dobrowolski".

Mile zdziwieni przyjacielskim tonem nagany, prosimy bliżej...

CAMERA OBSCURA

Pani Stefania

Naszą „kolumnę poezji" kontynuuje dzisiaj Stefania Rajska wierszem zamieszczonym w „Przeglądzie Sportowym":

Przed meczem

W walkach bokserskich ważna jest nauka:
Bić przez trzy rundy. Do trzech razy sztuka
Pamiętać o zwarciu. Zbliżanie jest w cenie.
A zwłaszcza z Czechami, słowiańskie zbliżenie.
Gdy się z Czechem spotkasz na ringu platformie,
Wiedz, że bracia Czesi w bardzo dobrej formie.
Zwłaszcza taki Kelner. On naprawdę mocen
Wliczyć sobie swych kelnerskich dziesięć procent.
Majdloch, Muzlay, Sadek— to twórcy wysiadek.
Zwłaszcza lekki Sadek, nie jest biły w... ciemię.
Rademacher, Svarko i ciężki Netuka,
Ostrzegają naszych: do Czech razy sztuka.
A nasza ósemka? Nie powiem, że źle.
Jest naprawdę dobra wprost od A do d.
Albowiem w porządku analfabetycznym
Antkiewicz, Bazarnik, Chychła — na nich liczym.
A potem niestety już zaczyna się
Ta nasza nieszczęsna, zła litera d.
A owej litery ogromnie nie lubim,
Pamiętając, że się od niej zaczął Dublin.
A zatem kończymy. Dość tego pisania
Na zdar! Do widzenia! Wszyscy do Poznania.

Trzeba dziwnej dostać manii, by chcieć wierszy od Stefanii...

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO — I. 4739
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-63178 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"